



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszu” po kop. 15 za wiersz pełitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem u Leitgebora i Spół. kwart. 5 marek.

Kobieta naszej doby.



Nowy ideał kobiety wita nas u progu dwudziestego stulecia, ideał, który rozwijał się przez długie lata i dojrzał w ostatnich dziesiątkach zeszłego wieku. Zwolna przychodziła gruntowna zmiana w warunkach bytu, w obowiązkach, dążeniach, wreszcie w społeczno-ekonomicznym stanowisku kobiety. Nowe czasy wystąpiły do niej z nowymi żądaniami, a pragnienie sprostania im wywołało konieczność żywotnego rozwijania i kształcenia całego zasobu sił i zdolności.

Po pierwszych próbach oswojenia ducha z ciemnoty i przesądu, zawdzięczanych poetom i myślicielom z końca XVIII stulecia, nastąpił wpływ niezatarty walk wstrząsających Europą. Duch raz do życia pobudzony, pomimo wielu przeszkód i pozornego, bywało, letargu, nie popadł już w poprzednią martwość. Walki, toczony w połowie XIX-go wieku o prawa polityczne i swobody, choć niewyraźny jeszcze, znalazły jednak oddźwięk w sercach kobiet, tęskniących do indywidualnej samoistności. Współdziałaczem silnym i trwale dążącym w tym kierunku, stały się materialne warunki bytu pracującego ogółu. Niegdyś mężczyźni wyłącznie byli stroną zarobkującą, do kobiet zaś należało strzedz męzowskiego mienia i jedynie wyrobem odzieży, albo pracą około ogrodu i spiżarni przy-

czyniały się do utrzymania dobrobytu w rodzinie. Przez wynalezienie maszyn, domowy przemysł niewieści doznał ogromnej porażki; maszyny wytrąciły z wielu rąk druty i wrzuciono, ręczne tkactwo i szyćie, na praktycznej drodze nie mogą współzawodniczyć z maszynami. Miliony pracowitych rąk utraciły zajęcie, a jednocześnie i sposób jedyny przyjsicia pracującym, męskim członkom w rodzinie, choć z drobną pomocą. Warunki życia stają się coraz trudniejsze, męczyzna sam, często nie może podźwignąć ciężaru zapewnienia bytu całej, do tego licznej rodziny, w sferach ludzi pracujących dom rodzinny począł zamykać się dla bezczynnych kobiet niezamężnych; musiały wędrować w świat, za chlebem.

Walka więc o powszedni kawałek chleba wywołała współzawodnictwo w pracy z mężczyznami. Biedne te pierwsze walczące kobiety, musiały ustępować wszędzie. Brakowało im właściwego wykształcenia, zręczności, hartu, a gdzie bieda dokonała cudu i braki te wyrównała, brakowało praw, któreby kobietom dozwalały ze zdobytych umiejętności i wprawy korzystać. Gorycz i zazdrość z jednej strony, — pogardliwa niechęć z drugiej, były wynikiem owych pierwszych, tak nierównych walk.

Atoli wytrwale, uczciwe dążenia musiały w końcu pożądaną przynieść owoce. Stanowisko kobiety na rozlicznych polach działania utrzymywało się coraz silniej, aż wreszcie utrwaliło się niezachwianie. Dziś już i nie-

chętni nie mogą odmówić jej uznania. W mężczyznach niegdyś tak opornych wszelkiej emancypacji kobiecej, obudziło się poczucie sprawiedliwości i wielu nawet, poważnie myślących, stało się orędownikami zdrowo i zanie pojętego kobiecego ruchu.

Nasuwa się tu pytanie, czy fachowe wykształcenie i zawodowa praca nie stają na przeszkodzie do zamążpójścia, lecz sądzę, iż na to pytanie zupełnie śmiało przeczącą możemy dać odpowiedź.

Nie zawodowa praca, ani fachowe wykształcenie są ku temu przyczyną, iż wiele dziewcząt zamąż nie wychodzi, lecz przyczyny szukać poprostu należy w nader znacznej, liczebnej przewyżce ludności żeńskiej nad męską. Przewyżka ta przedstawia sumę tem większą w wieku odpowiednim do zawierania małżeństw, ponieważ nie wszyscy mężczyźni żenić się chcą, lub mogą.

Zawodowe zajęcie przyzwyczajają kobietę do poważnej pracy, do surowego pojmowania obowiązków, do punktualności, hartu woli i panowania nad sobą, słowem do zalet, które w małżeństwie, w pożyciu domowym, nieocenionej są doniosłości.

Nadto, kobieta, która z własnego doświadczenia, będzie umiała ocenić, jak trudno jest pracą grosz zdobywać, niewątpliwie będzie starała się oględniej postępować z groszem, zapracowanym przez męża. Gruntowne opamiętanie danego przedmiotu, jak tego każde fachowe wykształcenie wymaga, wpływa na wyrobienie pewnej dojrzałości pojęć i poglę-

bienie charakteru dziewczęcia. Młode panny bogate, czy ubogie, powinnyby po ukończeniu ogólnego wykształcenia, po zdobyciu koniecznych wiadomości z gospodarstwa, higieny i pedagogiki, obrać sobie jakąś zawodową pracę i tę uważać, jako środek zapewniający im samodzielne istnienie. Obecnie, gdy tak liczne pola działalności stoją przed kobietami otwarte, nie trudno chyba wybrać takie, któreby odpowiadało indywidualności i uzdolnieniu.

Bogate kobiety, czy dziewczęta nie powinny, rozumie się, odbierać chleba potrzebującym, ale przy wykształceniu fachowem jakież to poważne, prawdziwie obywatelskie usługi można nieść w ofierze społeczeństwu!...

Wymagania, jakie dziś kobiecie, żonie i matce stawiamy, nierównie są poważniejsze i do spełnienia trudniejsze, aniżeli bywały dawniej. Mąż poświęca wszystkie swe siły i zdolności około zabięgliwej pracy, podejmowanej gwoli zapewnieniu bytu rodzinie i całodzienną robotą utrudzony nie może już znaleźć czasu na kierowanie wychowaniem dzieci, przechodzi więc ono prawie wyłącznie w ręce matki.

Aby godnie odpowiedzieć temu, tak ważnemu, podstawy kultury niosącemu zadaniu, kobieta musi być dojrzałą indywidualnie, tem więcej zaś, iż nie tylko rozumną, zaeną wychowawczynią dzieci być winna, lecz żądamy od niej, aby i mężowi była towarzyszką, przyjaciółką, nieomal kolegą. I tu więc znowu potrzebuje pogłębienia wiedzy i rozszerzenia widnokągu pojęć.

O ile kobieta zamężna pogodzić zdoła stałe, zawodowe zajęcia z obowiązkami żony i matki, to już jej samej pozostawić należy (rozumie się, mówię tu o godzeniu owych różnych obowiązków, w sposób rozważny i uczciwy), w każdym atoli razie chcąc choć w części rozwiązać to, bodaj najtrudniejsze zagadnienie kwestyi kobiecej, musimy córki nasze wcześniej już wychowaniem przygotowywać do poważnego traktowania przyjętych na się obowiązków, do szczerego umiłowania pracy, oraz do wyrzeczenia się niektórych przyzwyczajęń (np. powierzchownego blichtru), które, niby druga natura, z pokolenia na pokolenie przechowywane bywają.

Niezamężne kobiety znajdują cel i dużą dozę szczęścia w zawodowej, przez siebie wybranej, a pożytek niosącej rodzinie czy społeczeństwu działalności, przez to nazwa: „stara panna,“ w zwykłym tej nazwy pojęciu, upada raz na zawsze. Powiemy sobie, że są tylko starsze i młodsze kobiety, — wszystkie zaś są ludźmi, — zdrowymi, pożytecznymi członkami społeczeństwa.

Coraz nowe pola pracy obejmuje działalność kobieca. To już nie walka, to korzystanie z przyznanych praw. Oprócz specjalnych nauk, pracy zawodowej ręcznej, ogromnego zakresu dobroczynności publicznej, zajęć w biurach, kantorach i t. p., w wielu krajach za granicą, urzędy, sprawowane dawniej wyłącznie przez mężczyzn, coraz częściej poczynają obejmować kobiety.

Postawmy sobie teraz pytanie, czy obecne, przeciętne wykształcenie kobiety odpowiada działalności, jaka ją w przyszłości czekać może? Niestety, nie. W zakładach naukowych

dla kobiet, nie tylko u nas, lecz i tam, gdzie kobiety głośniejszej, skuteczniejszej, występują na arenie pracy publicznej, po większej części uczą, lecz nie kształcą.

Być może pochodzi to z przyczyny zbyt wielkiej liczebności uczennic, szkoła jednak, czy pensya, pomimo nawet zastosowania różnych zajęć praktycznych, nie pozostawia dziewczętom niczego więcej nad książkową naukę.

Właściwe zatem rozwijanie umysłu, kształcenie charakteru i przygotowanie dziewczyny na dalszą drogę życia zależnem jest od domowego otoczenia, w największej zaś mierze powinno być zależnem od matki.

Już w małej, kilkoletniej dziewczynce, matka powinna widzieć przyszłą kobietę, matkę nowej generacji i odpowiednio do czekających ją obowiązków powinna urabiać jej charakter i rozwijać siły fizyczne. Oprócz dobrego odżywiania i czystego, o ile to możliwe, powietrza, ćwiczenia fizyczne i właściwie zastosowane zabawy sportowe, powinny tak samo wzmacniać płuca i mięśnie dziewczątek, jak staramy się, żeby je wzmacniały u chłopców. Tylko śmieszna, próżna, nierozsądna i pozbawiona dobrego smaku matka powstrzymuje rozrost dziewczynki wcześniej nałożonym gorsetem, albo psuje chód jej i formę nogi ciasnemi, o wysokich obcasach bucikami.

Przez długi czas utrzymywało się mniemanie, iż paroletni przynajmniej pobyt, na takzwanej wyższej pensyi w mieście koniecznym jest dla nadania młodej panience stygmatu dobrego wychowania i starannego wykształcenia. Panienci wracały wprawdzie „dobrze ułożone,“ ale ów przyjemny dla oka układ krył po większej części nader płytką naturę i niestabilny, nieurobiony charakter, któremu potem trudno było obracać się w praktycznym życiu, a cóż dopiero wywalczać sobie cośkolwiek; albo też wracały do domu ze spaczonymi pojęciami o świecie i niesprawiedliwymi do niego pretensjami.

W wieku przejściowym, w którym dziewczętko przeradza się w kobietę, bywa ono często niezrozumiałe i nieraz poprostu nie można sobie z niem poradzić. Jakże często matka zniecierpliwiona wzdycha: „Własnego dziecka zrozumieć nie potrafię! Taka uparta, nieznośna... najlepiej oddam ją na pensję.“ Matka zaś nieposiadająca dostatecznych środków, żeby córkę oddać na pensję, powiada: „Czekaj, czekaj, pójdiesz do obcych ludzi, wypędzą ci muchy z nosa!“

I pierwsza, i druga matka przyznają się same, iż nie umieją wychować własnego dziecka.

Wspólnemu uczeniu się z koleżankami nie można odmówić wielu podstawowych zalet, ale myśleć z dziewczyną, kształcić jej serce, rozwijać pojęcia, powinien człowiek, który umie doskonale młodą duszę zrozumieć. Szczęśliwą jest, dla której tym człowiekiem może być matka.

Matka powinna być dla córki przyjacielem czułym, serdecznym i przewodnikiem silnym, budzącym szacunek i zaufanie, zwłaszcza w owej epoce nieokreślonych tęsknot, bezzasadnych bojaźni i rozbijałych, czasem nieorzecznych marzeń.

Nie rozumiem wcale, co znaczy wyrażenie: „skończona edukacya.“ Czyż może przyjść taka chwila, w której i najgłębiej uczony człowiek mógłby powiedzieć, że jego nauka się skończyła? Młode dziewczyny, po wyjściu ze szkoły, albo po ukończeniu w domu jakiegoś zakreszonego kursu nauk, powinny oprócz w obranym przez siebie, specjalnym jakimś zawodzie, kształcić się dalej, bądź to przez czytanie odpowiednich książek, bądź przez słuchanie nauczających odczytów, na brak których uskarżać się nie możemy. Umysłowy rozwój człowieka nie zna zastoju, — albo idzie naprzód, albo się cofa.

Przy poważnej zawodowej pracy nie należy zapominać o sztuce, która nam życie upiększa, podnosi, nie należy zaniedbywać chociażby kwiatka w doniczce, który nam umila otoczenie nasze. Przy sztuce znów, lub naukowej książce nie trzeba z pogardą lekceważyć zwykłych gospodarskich zajęć, albowiem i najuczętsza kobieta wyda się śmieszna, jeśli ją zobaczymy niezgrabną i niezaradną przy drobnym domowym zajęciu.

Znam kobietę, posiadającą dyplom doktora, znakomicie smażącą konfitury, — znam inną, żyjącą dla sztuki, a w wolnych chwilach z zapalem oddającą się cerowaniu i łataniu.

Kobieta, która umie zrównoważyć w sobie zalety umysłu i serca z hartem ducha i siłami fizycznymi, — pożyteczną zaś dla rodziny i społeczeństwa pracę — z pieczą o dobro domowego ogniska, do tego ze swojską nutą w duszy — oto ideał kobiety naszej doby.

Zofia Seidlerowa.



Julia Terpiłowska.



PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Pan Wielolecki zakrzętnął się gorliwie, aby ową część gruntów Obrywińskich, która pozostała jego własnością, spieniężyć jak najspieszniej i jak najkorzystniej.

Po drugiej stronie Bugu była niemiecka osada, gdzie koloniści z bogacili się już, rozrodzili — i myśleli o dalszym zaborze, to jest o założeniu nowej kolonii. Więc pewnego poranku z rekomendacji starego Grübera przyjechał do Obrywina pastor, upelnomocniony przez owce swoje, i wszedł z panem Wieloleckim w przedwstępne układy. Te szły dosyć gładko, bo właścicielowi pilno było, i pastor zapowiedział na blizki termin ponowne swoje przybycie dla ostatecznego ukończenia interesu.

Gdy się o tem w sąsiedztwie dowiedziano, Kanonik pojechał do Nabrzeżan, odbył z panem Tomaszem długą konferencyę, a wróciwszy do domu, tegoż dnia nad wieczorem wybrał się w odwiedziny do byłego swego kolatora.

Pan Wielolecki mieszkał teraz w oficynie pałacu, który nowy właściciel restaurował

i urządził na przyjęcie żony. Mewa bawiła w Krakowie u jakiejś kuzynki—bo ciotka już nie żyła — i tam też jej ślub miał się odbyć za kilka tygodni.

Pogawędziwszy z Wielołęckim o tem i owem, Kanonik naprowadził rozmowę na jego projekt sprzedaży gruntów. Wielołęcki opowiedział o swoich układach z zabużańskimi kolonistami, Kanonik wysłuchał uważnie, a potem rzekł:

— Szkoda to jednak będzie niepowetowana, jeżeli hrabia wydasz swoją ziemię w niemieckie ręce.

— Cóż robić, kochany Kanoniku; sam przecież na takim kawaleczku ekonomować nie mogę,— odrzucił niedbale Wielołęcki.

— „Nie mogę“ — to bardzo elastyczne pojęcie; ale wiem, że o tem niema co mówić w tym wypadku; więc powiem tylko, że możeby można wyszukać innego nabywcę?

— Ech! szukać, czekać, zwlekać, gdy ja chcę skończyć przed wyjazdem na ślub do Krakowa; tak dla mnie najwygodniej.

— Skoro hrabiemu idzie przedewszystkiem o swoją wygodę, niema co poruszać kwestyi z tej strony. Poruszę ją zatem z innej, aby hrabiemu zakomunikować, że znam kogoś, który dał za tę ziemię tyleż, co i Niemcy.

— Nie widzę w tem dla siebie żadnej wygranej. Z Niemcami interes już obgadany, pocóżbym miał z kimś innym rozpoczynać na nowo pertraktacye, które mię nudzą i fatygują?

— Tak?... Więc mam dla hrabiego inny argument: mój nabywca zapłaciłby więcej, niż Niemcy.

Wielołęcki podniósł żywo głowę, poprawił binokle i rzekł z zajęciem:

— Więcej? naprzykład ile?

— Niemcy dają panu trzydzieści dwa tysiące,— a mój nabywca proponuje trzydzieści pięć.

Wielołęcki ożywił się teraz bardzo i zaczął ciekawie pytać o owego nabywcę. Kanonik mu opowiedział, że ma zamiar podnieść z banku i ulokować w ziemi swój kapitałik, wynoszący piętnaście tysięcy, a pozostałe dwadzieścia włożyłby z nim do spółki pewien zamężny obywatel. Kanonik sam prowadziłby interes, kupno byłoby na jego imię, a suma całkowita od razu wypłacalna właścicielowi.

Teraz Wielołęcki uchwycił się korzystnej propozycji — i gdy umowa została zawartą, nalegał, aby nie zwlekając, skończyć interes urzędownie. Obawiał się, aby Kanonik, albo ów współnik, mając czas do namysłu, nie znaleźli, że cenę dają za wysoką.

Ale Kanonik nie rozmyślił się. Na oznaczony dzień i godzinę stawił się w mieście, u rejenta — i odliczywszy Wielołęckiemu pieniądze, przyjął od niego podpisany i poświęcony dokument kupna.

Podczas kiedy rejent uraczał swoich klientów buteleczką węgryna, wpadł do kancelaryi zdyszany pastor, który nie zastawszy Wielołęckiego w domu, pogonił za nim do miasta. Dowiedziawszy się, że już po wszystkim, w odpowiedzi na przechwałkę Wielołęckiego, że dostał o trzy tysiące więcej, rzucił, odchodząc za siebie, jak strzałę:

— Szkoda, że pan graf nie doniósł mnie

o nowym kontrahencie: myby dali trzydzieści sześć tysięcy.

Gdy gniewny Niemiec trzasnął drzwiami za sobą, Wielołęcki zaczął utyskiwać na swój pospiech, który mu przyczynił tysiąc rubli straty.

Rejent pocieszał zmartwionego klienta:

— Niech mi pan hrabia wierzy, że Niemiec na złość tylko to powiedział. Pan hrabia sprzedał swoją ziemię wyżej wartości; a przytem masz pan i tę wygraną, żeś obcego żywiołu nie wpuścił do ojcowizny.

— To dla mnie średnia satysfakcyja — odparł Wielołęcki, sącząc powoli węgryna.— Wpuściłbym i dyabła, gdyby dobrze zapłacił.

Kanonik postawił niedopity kieliszek i wstał z za stołu.

— Sam nie wiem doprawdy — rzekł z powagą i smutkiem,— co zgubniejsze dla ojczystego zagonu: czy kiedy się na nim plenią obce chwasty, czy kiedy go zanieczyszczają swojskie pasorzyty?... Dziękuję Bogu, panie hrabio, że mi pozwolił chociaż cząstkę puścizny twoich przodków uratować tak od pierwszych, jak i od drugiego...

Powiedziawszy to głosem, w którym więcej było bólu, niż goryczy, uklonił się zdaleka Wielołęckiemu, podał rękę rejentowi i wyszedł.

W następstwie tej krótkiej wymiany zdań pan Wielołęcki po raz pierwszy w życiu zrobił odstępstwo od form w wyższym świecie przyjętych. Nie w tem—Boże uchojaj—aby naprzykład włożył jasny garnitur do obiadu, albo wobec pań zapalił cygaro; przestał tylko ukazywać się w swojej ławeczce u drzwi zakrystyi podczas niedzielnego nabożeństwa, a nieobecność jego miała okazać Kanonikowi, że pan hrabia umie szanować swoją godność, i nie puszcza płazem obrazy swego honoru.

Na drugi dzień po powrocie z miasta, Kanonik siedział za stołem dużej izby w Zielonej Zagrodzie, Malwa ugaszczała go świeżo wyluskanemi orzeszkami, Jur plastrem złotego miodu, a on zjadał ulubiony przysmak, i z wesołem ożywieniem opowiadał o swojej spółce z panem Tomaszem Nabrzeskim i o nabyciu gruntów pana Wielołęckiego.

— Mam nadzieję, drodzy moi — mówił,— że na tym właśnie szmacie uratowanego od najezdniczków swojskiego zagonu, pierwsze wyda kłosa posiew waszej myśli i waszego przykładu. Podzielimy tę ziemię na kilka ferm takich, jak wasza, pobudujemy sadyby na obraz i podobieństwo Zielonej Zagrody—pan Tomasz na ten cel jeszcze pięć tysięcy przeznacz—i stworzymy coś pośredniego między szlacheckim zaściankiem a niemiecką kolonią, coś, coby było po niemiecku praktycznem, a po staropolsku poczciwem. Szlachecki zaścianek w kraju naszym bywał zwykle żywiołem moralnie dodatnim; niechby był jeszcze ekonomicznie produkcyjnym, a jego pożyteczność społeczna nie ulegałaby wątpliwości. Trzeba tedy postarać się, aby przysła osada nasza połączyła w sobie te dwa warunki pożyteczności społecznej.

Malwa nie mogła słów znaleźć na wyrażenie swojej uciechy z projektów Kanonika, a Jur przysłuchiwał się z żywym zajęciem.

Kanonik zwrócił się do niego:

— Ale mamy cel i mamy środki, a nie mamy możności wprowadzenia w czyn pomysłu. Specyjalnie się tem zająć nie może ani pan Nabrzeski, dla swego wieku, ani ja, dla moich obowiązków. Potrzeba nam ręki zdolnej i czynnej, działającej z przejęciem się przewodnią myślą, kierowanej rozumną i wyrtwalą wolą, którejby można powierzyć najpierw stworzenie osady, a potem jej kierownictwo. Rozumiesz mię, kochany panie Jerzy?

— Rozumiem — odpowiedział,— i naprawdę dumny się czuć będę, gdy mi ta missya zostanie powierzona. Może nareszcie przydam się na coś na świecie.. Jakaż będzie organizacyja tej osady?

— Będą to wzorowe fermy mniej więcej stu morgowe, które się powydzierzawiają bardzo tanio, z czynszem płatnym z dołu. Zdaje mi się, że da się ich wykroić siedem do dziesięciu. Sadyby staną u zakrętu rzeki; nazwisko jego dobrze się nadaje nowej osadzie.

— Jakież to nazwisko? — spytała ciekawie Malwa.

— Lud tutejszy z dawien dawna od zatrzymujących się wiosną w tym zakręcie galarów, nazywa go Przystanią. Czyż nie odpowiednie miano dla schroniska skołatanych rozbitków, którzy mają zaludnić naszą osadę?

— Czy tylko tak od razu znajdziemy dosyć takich amatorów? — zapytał Jur.

— Z pewnością aż zanadto. Biedota ludzka zawsze się tam zleci, gdy posłyszysz, że dają coś darmo. Trudność będzie nie w ilości amatorów, lecz w ich jakości. Nie zawsze łatwo wybrać chętnych i zdolnych do pracy z pomiędzy niezdarnych i próżniaków.

— Zdaje mi się—wtrąciła Malwa,— że najtrudniej będzie skłonić osadników do radykalnej zmiany trybu życia.

— To się im będzie stawiać, jako warunek w kontrakcie dzierżawnym. Zresztą, wszak będą to przeważnie tacy, którzy już nosili papierowe kołnierzyki i jadalni na margarynie. Ci, przeszedłszy wstrętą szkołę miejskiej bieddy, nie będą się mieć za biednych, jedząc barszcz z kaszą i nosząc płótno domowe. A przytem wasz przykład z pewnością apetytu im doda. Wszak prosty tryb życia, gdy się doń nawyknę, jest nie tylko zdrowszy i łatwiejszy, ale nawet przyjemniejszy; czy nie prawda, panno Malwo?

— O tak! — zawołała. — Nie pojmuję doprawdy, dlaczego postęp, który zburzył tyle niepotrzebnych starych rzeczy, pozostawia dotąd nietkniętymi te wszystkie anormalne nawyknięcia, które robią człowieka cywilizowanego podobnym do kobiety, wysznurowanej aż do zdefigurowania kształtów i zaparcia oddechu. Dlaczegoż prawa i obyczaje znajdują reformatorów, a nikt nie zbuntuje się przeciw uciskowi zwyczajowych drobiazgow?

— Może dlatego — odpowiedział z żartobliwym uśmiechem Kanonik,— że zwyczajowe drobiazgi od kobiet zależą, a więc są tak trwałe, jak upór kobiety. Gdy francuzcy rewolucyoniści zmienili ustrój społeczny, żony ich nie zmieniły trybu życia i sposobu bycia, i Napoleon poddawał się etykietce Józefiny. Ale pani, droga panno Malwo,— dodał seryo,— jako sama wyzwolona z pęt konwencyonali-

zmu, zechcesz i potrafisz wpływać w tym samym kierunku na mieszkanki Przystani, działając zarówno przykładem, jak i umiejętną perswazyą. Oto naprzykład wykorzenić będzie trzeba niezdarne naśladownictwo żurnalowych dziwolągów, nietylko kosztowne, ale śmieszne i szpetne. Trzeba będzie przekonać, że późne wstawanie, a długie czuwanie, jest dobrowolnym pozbawianiem się nie tylko zdrowej rzeźkości i czasu do pracy, ale i tych rozkoszy, jakich co rano używa każde zwierzę, o ile nie jest puszczykiem lub hyeną. Trzeba będzie nauczyć prostego przyrządzania posilnych pokarmów, a odczyć kulinarnych sztuczek, rodzących ów powszechny dziś katar żołądka, nie znany w czasach, gdy jadało się pieczone mięso, kaszę z mlekiem, jarzyny i owoce. Trzeba będzie wytłómaczyć, że gościnność zasadzać się winna na tradycyjnym: „czem chata bogata, tem rada,“ nie jak obecnie, na okazywaniu przyjęciem nad możność, że chata tem bogata, czego nie posiada. I trzeba będzie odzwyczaić nie tylko od niehygienicznego lub nieekonomicznego trybu życia, ale także od tego, co jest wytworem fałszu i próżności, od czezej formalistyki i sztucznej konwencyonalności, które się wysmiewa u Chińczyków, a u siebie praktykuje, od kłamliwego i nienaturalnego obejścia, od komedii towarzyskiej i bezmyślnych, bezzasadnych prawidełek, na które tak często samiz ich niewolnicy, utyskują, jak na nieznośne jarzmo, a które obserwują ściślej, niż Dzieścioro Bożego Przykazania.

— Jednakże tresura poskramia cokolwiek ludzkie zwierzę, — zauważył Jur.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAKOPANE.



I.

Na zielonym regli ganku
Welon niebieskawej mgły,
Od świtania — od poranku,
Z ciężkiej chmury bez ustanku
Płyną wielkie deszczu lzy.

Czasem zeicha — gdzieś dolata
Dzwonków dźwięk z dalekich hal,
Płaszcz chmur niebo z ziemią brata,
Za chmurami nie znać świata,
Znikła przestrzeń — znikła dal!

Chłodną, szarą, smętną ciszę
Rwącego potoku szum
Mając — w dziwny takt kołysze...

W głębi smętnej duszy słyszę
Chłodnych, szarych myśli tłum...

II.

Ponad Giewontu skalnym szczytem
Złociste słońce wstało —
Regle zielonym aksamitem
Odziane. Wstęgą białą

Mgła trwożna do stóp im przypadła,
Ta mgła — dziś lekka para,
Tak wysrebrzona, tak przebladła...
Świat — szmaragdowa czara,

Wonią subtelną napełniona —
Z łąk, lasów — regli — hal,....
Masz skrzydła duszo ma stęskniona,
Więc leć wciąż wyżej — dalej!

III.

Cichutką idę wzwyz ścieżyną,
Zielonym sianą aksamitem,
Potoki srebrne u stóp płyną,
Wstaje przed okiem szczyt za szczytem.

Uskrzydłonymi idę stopy,
Wpatrzony w lazur, w bezmiar — w ciszę...
Przez powódź słońca, przez potopy
Zieleni — idę — gdzie dzwon słyszę.

Idę tam rano i wieczorem,
Drożynka się wężykiem wsuwa; —
Tam — gdzie nad każdym duchem chorym
Ukrzyżowany Chrystus czuwa....

Bożymir.



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

W końcu, po całodziennem wahaniu się, ulegając perswazyom Würfla, o którego szczerości i życzliwości nie potrzebował wątpić, zdecydował się, a wszyscy gorąco przyklasnęli tej decyzji. Postanowiono przytem, że koncert, czyli t. zw. *eine musikalische Akademie*, odbędzie się w Kärtnerthortheater. „Tak mię odurzyli, że przystałem na koncert, a Würfel w ten moment wszystkim się zajął. Blahetka powiada, że zrobię furorę, bom wirtuoz pierwszego kalibru, iż między Moschelesa, Herza, Kalkbrennera liczyć mnie potrzeba. Würfel prezentował mię dziś hrabiemu Gallenbergowi, kapelmistrzowi Seyfriedowi i każdemu, kogo spotkał, jako młodzieńca, którego on namówił do dania koncertu (*nota bene* bez żadnego honorarium, co się bardzo hrabiemu Gallenbergowi podobało, bo tu idzie o jego kieszeń). Istotnie, Würfel wszystko mi ułatwił; sam będzie na próbie i szczerze się zajmuje mojem wystąpieniem. Nazajutrz ogłoszono o tem w afiszach. Już cofnąć się było trudno, a jeszcze nie wiem, co mam grać i jak mam grać. Trzech fabrykantów ofiarowało mi do stancyi fortepiany; podziękowałem, bom za mały miał pokój i te kilka godzin gry nie byłyby mi wiele pomogły, zwłaszcza, że za dwa dni wystąpić miałem... Stojąc przed teatrem (Kärtnerthortheater), widzę hrabiego Gallenberga; przybliżył się on do mnie i proponuje, ażeby grać we wtorek, przystałem... Wybrałem na koncert instrument Grafy, obawiam się Steinowi przez to uchybić, ale mu pięknie za jego grzeczność podziękuję. Mam nadzieję, że mi Pan Bóg dopomocze. Bądźcie spokojni!“¹⁾

¹⁾ Z listów Chopina do rodziców i do T. Wojciechowskiego.

Temi słowy pisał Chopin do rodziców w sobotę wieczorem dnia 8-go sierpnia¹⁾. Mając upoważnienie ze strony młodego maëstra, że godzi się na wszystko, nawet na przyspieszenie koncertu, t. j. żeby koncert odbył się już w najbliższy wtorek, dnia 11-go sierpnia, Gallenberg ułożył następujący program: po Uwerturze Beethovena do „Prometeusza,“ Chopin miał wykonać swoje „Waryacje z Don Juana,“ potem miała spiewać panna Weltheim, nadworna spiewaczka króla Saskiego, następnie Chopin miał odegrać swoje „Rondo à la Krakowiak,“ poczem znów był numer spiewu, aż wreszcie dla wypełnienia wieczoru, mały balet. Jeszcze w sobotę, podczas przedstawienia w Kärtnerthortheater, na którym był obecny, zapoznał się Chopin, dzięki Würflowi, z członkami orkiestry, która mu miała akompaniować we wtorek, i z kilkoma panami z prassy, którzy mieli wyrokować o nim po koncercie. „Gazeciarze wszyscy dużemi oczyma na mnie patrzą, członkowie orkiestry nisko się kłaniają, bo pan dyrektor opery włoskiej²⁾, której już niema, pod rękę się ze mną prowadzi.“

W sam dzień koncertu, we wtorek przed południem odbyła się próba z orkiestrą, próba, która była źródłem wielu irytacji dla młodego wirtuoza. Z drugiej strony niemale mu też pod niejednym względem przyniosła zadowolenie. Przyszło na nią wielu znajomych artysty, nie mówiąc już o jego towarzyszach podróży. Między innymi był na niej także i Tomasz Nidecki. „Członkowie orkiestry na próbie kwasili mi się. Najwięcej im o to szło, że dopiero co przyjechał i zaraz ni ztąd ni z owąd gram, i jeszcze własne kompozycje. Zacząłem więc próbę od „Waryacji,“ które miały być poprzedzone przez „Rondo krakowskie.“ Przeszły dobrze, ale „Rondo“ parę razy zaczynałem, a orkiestra okropnie się mieszała i zganiała na złe pismo. Całą tej konfuzji przyczyną były pauzy, inaczey u dołu, a inaczey u góry pisane, lubo zapowiedziało się, że tylko górne numera idą. Była to moja po części wina, ale się spodziewałem, że mnie zrozumieją; tymczasem gniewała ich ta nieakuratność. Dość, iż tyle mi fochów nastroiło, że już miałem się na pogotowiu na wieczór się rozchorować. Ale Demar, reżyser teatralny, pomiarkowawszy, że to mała niechęć członków orkiestry (zwłaszcza, że Würfel chciał dyrygować, a oni go nie lubią, nie wiem dlaczego), więc wniósł, żebym, zamiast grać „Rondo,“ improwizował. Jak to powiedział, orkiestra duże oczy zrobiła! Tak byłem tem zirytowany, że z rozpaczy przystałem na to, i kto wie, czy ten mój nieszczęśliwy humor i ryzyko nie były mi bodźcem do lepszego wieczorem wystąpienia.“ Co się tyczy „Ronda,“ to jakkolwiek z niego zrezygnowano, jednak podobało się ono bardzo niektórym z obecnych na próbie, w tej liczbie reżyserowi Demarowi. Tego samego o niem

¹⁾ Myśl, powzięta w sobotę, Würfel we wtorek do skutku doprowadził; «jemu też wiele winien jestem» pisał Chopin do domu d. 12-go sierpnia r. 1829-go. W tymże liście czytamy: «Ponieważ nie miałem nic z tego i nie starałem się mieć, więc hr. Gallenberg przyspieszył owo wystąpienie (moje).

²⁾ Würfel.

zdania był i Gallenberg, któremu wogóle kompozycje Chopina ogromnie się podobały.

Popołudnie przed koncertem zeszło na gorączkowych do niego przygotowania, przy czem niemałą był Chopinowi pomocą Nidecki, który po wysłuchaniu partyi orkiestrowej do „Waryacyi,” miał jej niejedno tu i ówdzie do zarzucenia. Chopin, którego słabą stroną zawsze był kunszt instrumentowania, w zupełności aprobował zarzuty Nideckiego i dlatego upoważnił go do porobienia różnych poprawek, na co było jeszcze dość czasu. „Nidecki wczoraj szczególnie bardzo wiele okazał mi przyjaźni: przeglądał, poprawiał głosy orkiestrowe i szczerze się cieszył z oklasków.”

Ostatni szczegół o oklaskach odnosi się już do samego koncertu, który się zaczął o 7-ej wieczorem, a o którym nie można powiedzieć nic innego, tylko że od początku do końca udał się tak, jak niepodobna było lepiej. Jedyną jego słabą stroną było to, iż publiczności nie zebrało się tyle, jak na to genialny twórca „Waryacyi” zasługiwał; ale dziwić się temu nie można: nazwisko Chopina po raz pierwszy figurowało na afiszu, o kompozycjach jego jeszcze przed tygodniem nikt w całym Wiedniu nie słyszał. Mimo to, dzięki staraniom Würfla i kilku innych osób, które się gorliwie koncertem tym zajęły, znalazło się wieczoru tego w sali Kärtnerthortheateru paru melomanów z najwyższych sfer towarzyskich wiedeńskich, nie mówiąc już o ziombkach młodego maëstra, z którymi już zdążył zabrać znajomość. On sam, rzecz niespodziewana zupełnie, zważywszy jego nerwowe usposobienie, był względnie spokojny, prawie nie miał tremy. „Teatralny reżyser, pan Demar (pisał Chopin o tej pamiętnej chwili na kilka minut przed koncertem), nadzwyczaj dla mnie grzeczny i dobry: przed wejściem mojem na scenę tyle mię ośmielił swemi zapewnieniami, tyle umysłowi mojemu roztarzgnięcia sprawił, że wielkiego strachu nie miałem, zwłaszcza, iż nie było pełno w sali ¹⁾.” Drugim człowiekiem, który mu dodawał otuchy, był Polak jeden, z baletu w Kärtnerthortheater. Ziomek ten, pisze Chopin, „podczas wystąpienia mego tyle się o mnie troszczył, że mi sam wodę z cukrem przynosił, dodawał serca i t. p.” „Jakoś nic mnie nie zatrwożył widok publiczności wiedeńskiej. A ponieważ tam niema zwyczaju, żeby orkiestra występowała na scenę, tylko na swoich pozostaje miejscach, więc ja blady, z wyróżzowanym kompanem do przewracania kart (który mi się chwalił, że Moschelesowi, Hummlowi, Herzowi karty przewracał), zasiadłem do przedziwnego, może wówczas najlepszego wiedeńskiego instrumentu Graffa.” Ten cudowny fortepian, niezawodnie najpiękniejszy, na jakim grał kiedykolwiek w życiu, niemało mu dodawał pewności siebie. Co mu także dodało otuchy, to przychylnie powitanie, jakie go spotkało ze strony zgromadzonej publiczności; skoro się ukazał na scenie, odrazu dostał brawo, co świadczyło, że wśród słuchaczy niemało miał życzliwych sobie, albo takich, którzy już o jego grze i talencie mieli należyte wyobrażenie. Mimo to „grał

z desperacją,” bo w końcu nerwy wzięły górę nad wszystkim. Wiedział, iż od pierwszego wrażenia, jakie zrobi, zależy nie tylko powodzenie tego wieczoru, ale i dalsze powodzenie w karierze artystycznej; czuł, że była to chwila, która miała rozstrzygnąć o jego losach. W tem uczuciu zaczął grać swoje „Waryacje z Don Juana,” w tem uczuciu zagrał Introdukcyę, temat i pierwszą waryacyę. „Ale już po tej pierwszej waryacji zerwały się oklaski, żem nie słyszał tutti orkiestry. Po skończeniu tyle klaskano, iż musiałem drugi raz wyjść i uklonąć się ²⁾.” Po *Intermezzo*, odspiewanem bardzo pięknie przez pannę Weltcheim (spiewu jej, znajdujący się tymczasem za kulisami Chopin nie wiele słyszał i słuchał) przyszła kolej na improwizacyę, na t. zw. *Freie Fantasie*. Ośmielony powodzeniem, jakie mu zjednały „Waryacje,” już z większym spokojem wychodził teraz na scenę, a gdy reżyser, w jego imieniu zwracając się do publiczności, poprosił o temat do improwizacji, zaproponowano mu temat z „Białej damy.” O tej drugiej części swego występu taką zdał Chopin sprawę rodzicom: „*Freie Phantasie*” lubo nie tak szczególnie mi się udała, jednakże silniej jeszcze bito brawo i znów potrzeba było ukazać się na scenie. Lepiej na niej wyszedłem, dlatego, że Niemcy umieją to cenić. Improwizowałem na temat „Białej damy,” na prośby zaś reżysera, któremu się moje „Rondo” na próbie nadzwyczaj podobało, ażebym wziął jeszcze polski temat, wybrałem „Chmiela,” co zelektryzowało publiczność, nie przyzwyczajoną do takich pieśni. Moje parterowe szpiegi zaręczają, że aż skakano na ławkach.” „Orkiestra piorunowała na moje źle pisane nuty i krzywiła się aż do improwizacji, po której biła także brawo wśród oklasków i krzyków całej publiczności. Widzę, że ją mam za sobą, o innych artystach jeszcze nie wiem; nie powinni mi być nieprzyjaźni, bo wiedzą, że nie dla korzyści materyalnych grałem.”

Po drugim zejściu Chopina ze sceny, gdy na zakończenie wieczoru raczono jeszcze publiczność baletem, zebrał się za kulisami wzmiankowani powyżej „parterowi szpiegi” artyści i, otoczywszy go, zdawali mu sprawę z wrażenia, jakie wystąpieniem swoim wśród zgromadzonych uczynił. Szpiegami tymi byli—jak się tego domysleć łatwo—czterej towarzysze podróży Fryderyka. „Przyjaciele moi i kolledzy rozstawili się po kątach dla słuchania rozmaitych zdań i krytyk. Celiński może powiedzieć, jak mało nagan słyszano; tylko Hube największą słyszał. Jakaś dama powiedziała: *Schade um den Jungen, dass er so wenig Tournüre hat*. Jeżeli taką tylko dano mi nagane, a przysięgają się, że same jedynie pochwały słyszeli i że nigdy brawa nie zaczynali, więc się nie mam czego turkować... powszechny jednakże głos jest, iż za słabo grałem, a raczej za delikatnie, dla przyzwyczajonych do tłuczenia fortepianów tutejszych artystów. Spodziewam się tego

²⁾ Z listu do rodziców. W liście do Tytusa Wojciecha, pisanym już po powrocie do Warszawy, pisze Chopin: „Tyle jednak „Waryacje” efektu zrobiły, że prócz tego, iż po każdej waryacji oklaskiwano, po skończeniu jeszcze raz na scenę pokazać się musiałem.”

zarzutu w dzienniku, zwłaszcza, że córka redaktora wali strasznie po instrumencie. Nie nie szkodzi; bo przecie nie można nie mieć żadnego *ale*, a wolę takie, aniżeli gdyby powiedziano, że gram za mocno.” „Jeżeli w gazetach tak mię wychłoszczą, iż nie będę mógł się więcej świata pokazać, zdecydowałem się malować pokoje, bo pędzłem przez papierek najłatwiej ciągnąć, a zawsze jest się synkiem Apollina.” Swoją drogą o większość opinii dziennikarskich był spokojny, z tego bowiem, jak się ci panowie zachowywali wobec niego, gdy mu po koncercie przyszli za kulisę wieszować, śmiało mógł wnosić, że krytyki ich nie wypadną zbyt surowo. „Dziennikarze polubili mię, pisał o nich zaraz następnego dnia; może przypną łatkę, ale to potrzeba dla odcieniowania pochwały.” Gallenbergowi, który był także pomiędzy wieszającymi, bardzo się podobały same kompozycje, a reżyser teatralny, Demar, ścisnąwszy go po koncercie mocno za rękę, powiedział: *Ja, das Rondo muss hier gespielt werden...*

(Ciąg dalszy nastąpi).



WŁADYSŁAW ORDON.

(Ze wspomnień lwowskich).



(Ciąg dalszy).

Wracając do poematu — byłem nim tak oczarowany, olśniony, że zawołałem bez wahania:

— O! omylił się, widzę, tym razem poczciwy nasz Kraszewski!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jaktó, co chcę powiedzieć? Czytałeś przecie niezawodnie, co arcy-głęboki ten zresztą znawca talentów, napisał w swym „Tygodniu” o twych „Poezyach” ^{*}). Wszak był to prawdziwy hymn uwielbienia, a powiada on w nim także, że poezye twe noszą charakter tak skończonego artyzmu, iż wątpi już nawet, abyś mógł w tym kierunku uczynić jeszcze krok jaki naprzód. Coś w tym rodzaju powiada... Z pewnością. Najnowszy twój jednak poemat, to bez wątpienia—prawdziwy krok naprzód w rozwoju twego talentu. Nie bez zasady więc wołam: omylił się Kraszewski!

(Zdanie to chętnie powtórzę i dziś, choć wiem, że zbyt surowa krytyka—mieć może inne. Dla mnie jednak ostatni ten poemat Ordon, ten iście *łabędzi* jego *spiew*—pozostanie na zawsze prawdziwym jego arcydziełem).

W parę tygodni potem, bo od 1-go już sierpnia, znów zamieszkałem z Bełzą i ze ś. p. Michałem Dzieduszyckim, bratem stryjecznym dobrze znanego Wojciecha. O obu też, jak jak i o Janie Grzegorzewskim, z którym mieszkałem kilkakroć — wspomnę kiedyś obszerniej. Hr. Wojciech Dzieduszycki szczególnie — wielce oryginalna i ciekawa to po-

^{*}) „Poezye” Wł. Ordon. Kraków. 1869.

¹⁾ Z listu do rodziców z d. 12 sierpnia 1829.

stać. A znałem go niegdyś równie dobrze, jak i Michała. Hr. Michał, jako jednoroczny ochotnik, służył wówczas w wojsku i równocześnie pisywał pełne humoru kroniki niedzielne do „Gazety Narodowej,” które podznaczał literami: *M-ki*. Był nadto krytykiem teatralnym „Dziennika Polskiego,” współpracownikiem „Szczutka” i kilku pism innych. Zdawało się, że już tą drogą iść będzie zawsze. Z prawdziwą jednak szkodą dla literatury i dziennikarstwa, bardzo tylko rzadko odzywał się później, napisał jeszcze wprawdzie parę komedii, grywanych z powodzeniem na scenach krakowskiej i lwowskiej, ale zresztą oddał się przedewszystkiem—karyerze urzędniczej. Przed kilku laty przeniesiono go do Krakowa, na stanowisko dyrektora [krakowskiego Okręgu Skarbowego. Odtąd ceniony jeszcze bardziej przez wyższą swą władzę, szanowany przez podwładnych, kochany, jak i dawniej, przez przyjaciół i kolegów—otwartą miał drogę do coraz to większych zaszczytów i dostojenstw. Z ogólnym jednak żalem bardzo właśnie niedawno, bo w maju r. b. (1902) zmarł nagle w Krakowie.

Z nim to tedy i z Bełzą zajmowaliśmy wówczas dość obszerny lokal.

We dwa, mniej więcej, tygodnie, od chwili wspólnego naszego zamieszkania, zdarzyło się, iż przyjechał właśnie do Lwowa, głośny wówczas autor kilku pamiętników, Władysław Czaplicki. Bełza, który znał Czaplickiego oddawna (bo kogo on nie znał lub nie zna?), zaprosił go do nas na dni parę i korzystając z chwilowego pobytu wśród nas autora „Powieści o Horożanie,” urządził na cześć jego 19 sierpnia 1872 r., bardzo zresztą skromny wieczorek. Przybyło nań jednak niemało naszych kolegów, z którymi podówczas żyliśmy bliżej, a między innymi przybył także i drugi, nie mniej głośny w swym czasie autor pamiętników—Jakób Gordon. Na wieczorku tym tedy znajdowali się, o ile pomnę, oprócz Bełzy, Gordona, Czaplickiego, Dzieduszyckiego i mnie:—Władysław Ordon, Aureli Urbański, późniejszy dyrektor teatru poznańskiego A. K. Podwyszyński, art.-drzeworytnik Zenon Szymański, obecny pułkownik austriacki i autor dzieł specjalnych w języku niemieckim Aleksander Haidecki, Seweryn Zagórski, Ignacy Papara i inni.

Od arcy-ciekawych, a smutnych najczęściej opowiadań i wspomnień, od serdecznej pogawędki i bardzo poważnego zrazu nastroju, przeszliśmy zwolna—jak to zresztą zwykle na podobnych zebraniach—do spraw bieżących, no, i naturalnie znacznie już weselszych. Posypało się teraz mnóstwo dowcipnych uwag, żarcików, porównań, a wszystko to najczęściej improwizowanym na prędce wierszem, czem popisywali się co chwila: Bełza, Ordon, Urbański, Dzieduszycki.

Przy każdej podobnej sposobności odżalować nie mogłem zawsze, że nie znałem stenografii, i że dzięki temu, nie byłem w stanie zanotować prawdziwych tych często klejnotów dowcipu i humoru, jakie z królewską nieraz hojnością rozrzucali w koło siebie: Lam, Bełza, Ordon, Kazimierz Bartoszewicz, Władysław Sabowski i tylu, tylu innych, z którymi zdarzało mi się bliższe zawiązy-

wać stosunki. Nigdy zaś może nie żalowałem tego bardziej, jak właśnie na pamiętnym onym wieczorku, pamiętnym zwłaszcza dla Ordon i Bełzy. Gdybym zdołał być przeczuć na nim, co wkrótce nastąpi, to możebym przecież potrafił jakoś, czy to sam, czy z czyjąś jeszcze pomocą, utrwalić raz na zawsze to wszystko, co w iście prawdziwym natchnieniu wygłosili w nim wówczas, walczący ze sobą, jak zwykle, obaj ci poeci.

Lecz na nieszczęście nie było między nami ani jednego stenografa, a... o fonografach, to naturalnie i nie marzył nikt jeszcze.

Gdy tedy od lekkiej i wesołej owej szermierki krzyżujących się wciąż ze sobą: zdań, wykrzykników, polemik, aluzji itp., przeszliśmy znowu do kwestyi nieco poważniejszych—powstał niebawem Ordon i zaczął najniespodzianie wygłaszać improwizację, której już sam początek zapowiadał wyraźnie, że będzie to rzecz obszerniejsza. Z wielką więc tylko ciekawością *na razie* poczęliśmy jej przysłuchiwać się. Nawpół żartobliwe, nawpół poważne wiersze jej początkowe, przy samym niemal końcu dopiero zmieniły się na prawdziwie wspaniałą i porywającą improwizację. Zasluchani w niej wszyscy, zachwyceni jej treścią, upojeni jej czarem, wzruszeni nią do głębi, zapomnieliśmy o tem, że w jakikolwiek sposób należałoby przecież zachować ją dla przyszłości. Było to zresztą dość trudnem, choćby dlatego, że nim zdołaliśmy ochłonąć z pierwszego wrażenia—powstał znów Bełza i w improwizacji, nie tak już może kunsztownej, jak Ordon, ale za to z większym jeszcze od niego zapałem—począł czarować słuchaczy. Zchwyciłem wówczas ołówek i ćwiartkę papieru, usiłując coś zanotować. Byłem jednak tem wszystkiem tak mocno wzruszony, że ręka drżała mi, jak w febrze, a łzy cisnęły się do oczu. Niepodobna było pisać.

Improwizator dobiegł tymczasem do końca.

Na to, dotknięty jednym z ustępów improwizacji Bełzy—znów odpowiedział wierszem Ordon. Nowa ta, a ognista jego improwizacja, była tym razem pełną sarkazmu i ironii, wymierzonej głównie przeciw Bełzie. Przypominało to pomimowoli—*honny soit qui mal y pense*—słynne walki improwizatorskie Mickiewicza ze Słowackim...

Nie dziw więc, iż byliśmy tak dalece oszłomieni ciągłymi temi niespodziankami, że i teraz jeszcze nie mogliśmy się zdobyć na zanotowanie ani jednej nawet z wygłoszonych dotąd improwizacji. Przy końcu dopiero trzeciej tej z kolei szepnąłem do siedzących tuż przy mnie: Czaplickiego, Haideckiego i Podwyszyńskiego, że trzeba przecież jakoś koniecznie, choć to przynajmniej spisać, co obaj poeci improwizować będą teraz, bo zanosilo się wyraźnie na jeszcze gorętszą walkę między nimi. Nie tracąc więc czasu, umówiliśmy się natychmiast, że każdy z nas będzie tylko notował co czwarty wiersz z kolei, t. j. że Czaplicki zaraz od samego początku zanotuje wiersz 1-szy, Haidecki—wiersz 2-gi, Podwyszyński—3-ci, a ja—4-ty, i w tenże sam sposób aż do końca. Tak się też stało.

Dwie więc ostatnie improwizacje, t. j. czwartą i piątą (nie licząc naturalnie owych humorystycznych, które je znacznie poprze-

dziły) spisaliśmy dosłownie. Na nieszczęście w dalekich moich wędrówkach po Ameryce Północnej—odpisy tych improwizacji zginęły mi przed laty. Niektóre wszakże ustępy z ich początku i zakończenia, pamiętam jeszcze dotąd i przytoczę je niżej. Wielka tylko szkoda, że po trzydziestu okrągłych latach nie mogę już sobie przypomnieć ani samej treści wszystkich tych improwizacji, ani nawet tego, o co właściwie spierali się z sobą młodzi nasi wówczas poeci—antagoniści. Dwie te ich jednak ostatnie na tym wieczorze improwizacje, *muszą* się u kogoś znajdować w całości. Posiada je najpewniej były profesor gimnazjum przemyskiego i autor kilku rozpraw historycznych, Kazimierz Gorski, a co ważniejsze, posiada on bardzo ciekawy list Bełzy, opisujący mu właśnie cały ten wieczór, i o ile pomnę, podający zarazem treść wszystkich owych pięciu improwizacji. Żałuję, że nie mam dzisiejszego adresu prof. Gorskiego, i że nie mogłem go poprosić o przysłanie tego listu w oryginale lub kopii. Pisał go Bełza, jeśli dobrze pamiętam, zaraz nazajutrz po wygłoszeniu tych improwizacji. Jedna z nich tedy, t. j. druga z kolei improwizacja Bełzy, zaczynała się tak:

„Nie myślę ja, kolledzy, iść z bratem o lepsze.
Zanim ciężkie zarzuty pierś inna odeprze,
Choć może słowa moje w pośród was poronie,
Za całość moich zasad wpierw stanę w obronie.“

Ostatnia zaś strofa zaczynała się temi słowy:

„...„O! rzucić nam ten zarzut, żeśmy podli, mali,
Że się dusza weseli, że się serce pali...“

Niestety—dalej nie pomnę. Pomnę tylko dobrze, iż całą tę strofę wygłosił Bełza z nadzwyczajnym już wysiłkiem, i że łkając od płaczu wydał w końcu przerażający jakiś okrzyk, upadł wreszcie i... omdlał.

Rzuciliśmy się doń wszyscy i poczęliśmy go cucić. Na twarz zemdlonego, okrytą śmiertelną bladłością, wystąpił zimny pot. Miałem już biedz po doktora, bo lękaliśmy się, czy nie wyniknie ztąd co gorszego, gdy w kilka chwil potem omdlenie przeszło i poeta powrócił do przytomności. Przykra ta scena, najbardziej oczywiście musiała być przykrą dla Ordon. W kilka też ledwie chwil po ocuceniu Bełzy, rzekł do mnie Ordon półgłosem:

— Bardzo mnie to boli, iż tak źle przez Bełzika zostałem zrozumiany i że za ostre nieco me wyrazy wziął tak gorąco do serca.

Gdy więc po niemiłym tym wypadku uspokoił się nieco—Ordon zażądał głosu i rozpoczął w te słowa:

Nie gniew ze mnie przemawiał, nie szysterstwo chłobudki to i celu, i nas tu niegodne. [dne;
W miłości cała gorycz myśli mych zrodzona,
Ściekla kropla za kroplą, jak krew z mego łona.

Wygłosił dalej jeszcze z kilkadziesiąt jakich wierszy i zakończył wreszcie tak:

O! matko nasza, ziemio! Tyś niewiasta chora,
Która szle dwoje dzieciak po lek do znachora;
Jedno chce krótszej drogi—drugie dłuższą bierze,
Lecz pewniejszą. Oboje drżą o matkę szczerze.
Lecz dłuższa owa droga wnet lepszą się staje;
Dziecięciu w krótszej drodze cel blizki się zdaje.
Siada więc, zrywa kwiatki, za motylkiem goni,
Lub słucha, jak koniki ćwierkają po błoni.
Drugie dziecię, nie ufne, bo ma dłuższą drogę
Wciąż sobie słowo: „Naprzód!“ daje jak przestroge.

Oboje wróć może... wróć na czas jeszcze.
Lecz jedno kwiatków tylko znieś wonne deszcze
I rzuci je pod stopy matce konającej,
Drugie przyniesie wody — z mąk uzdrawiającej.

Alexander Bolesław Brzostowski.

(Dokończenie nastąpi).



Wanda Grot-Bęczkowska.

JAK SEN...

NOWELLA.



(Dokończenie).

Czego on chce od niej? Dlaczego jej dokucza? Znają się już od roku i przecież on nie jest dla niej taki, jak dla innych, i ona także względem niego jest inna.

Miłość... miłość... Ona nie wie, czy to jest miłość, ale to wie, że on jest dla niej wszystkim!

Tylko dość już tej igraszki! Zmęczyła ją... I w istocie rzeczy, ona nie wie, co o tem sądzić. Nie wie, a chce wiedzieć, musi wiedzieć! To taka męka niepewność! Wszak mógłby powiedzieć: „Należę do innej, ale gdybym był wolnym...” I co to zresztą takie narzeczeństwo... On nie dba o tamtą i tamta o niego. Więc...

— Czy pani układa nową wycieczkę w głąb lasu, lub na pola śniegowe? — pyta ironicznie Witold. — To byłaby *meta-rozkosz*, prawda? Noc... Wicher unosi panią po nad powierzchnię tej mizernej ziemi, niebo nad głową bezkresne, bezgwiazdne, pola, jak całun grobowy, las czarny pełen nastrojów... Uf! że panią kiedykolwiek na tych przechadzkach spotka jaki prawdziwy nastrój, wątpliwości nie ulega.

— Co najwyżej mogę zablądzić...

— Już jabym pani z pewnością nie szukał.

— Wiem o tem!

Rozgniewana odeszła do okna.

Śnieg pada teraz gęstymi płatami. Nie już nie widać w około, prócz olbrzymich zasp śniegu. I w tej puchowej pościeli tak wszystko drzemie... Smutno!

Zapatrzyła się, zadumała.

Jakby szum morza gdzieś z oddali dochodzi do jej uszu odgłos muzyki, zmieszanych głosów ludzkich, tańca...

Niech się bawia... Ona tam pomiędzy nich nie pójdzie.

Ludzie? Cóż ją ludzie obchodzą... Teatr marynetek... śmiech pusty... słowa puste... Witold? Tak, przypuszczała, że jest inny, że ją rozumie... złudzenie! złudzeniem było również... Ach, lepiej nie myśleć! Zabawia się teraz niewątpliwie flirtem z pannami... Z nią się nudzi... *Tek!*

Wzdycha.

Gdyby to można nie czuć, że to boli... Nie myśleć, nie pragnąć...

On i tylko on! Aż do zmęczenia, aż do szaleństwa! Jakże nie pragnąć... Ale nie będzie już nigdy kochać nikogo i nie zapomni Witolda. Przeznaczenie! Chciano ją po śmier-

ci matki tu i ówdzie zabrać, zwyczajnie, jak sierotę bezdomną, wybrała dom Bolka.

Przeznaczenie!

Odwraca od okna twarz bardzo bladą i posępnymi oczyma spoziera przez drzwi otwarte do salonu.

Witold rozmawia z Emilką.

Dziewczyna ognistym wzrokiem tonie w jego oczach, z za warg czerwonych błyska zdrowymi zębami. Uosobienie siły, zdrowia, temperamentu. Doskonały materiał na żonę, matkę, ale Kara ze swego idealnego punktu widzenia powiada sobie: „Dziewka folwarczna” — i czuje przytem odrobinę zadowolenia, bo wytworne maniery Witolda kłóć się z kańciastymi ruchami Emilki, z jej nadmierną, popolitą wesołością.

Ale Witold się bawi.

Kara przesuwają się nieznacznie między tańczącymi i dopiero w pustym pokoiku swoim na górze oddycha szerzej.

Ciasno jej pomiędzy ludźmi; lżej o wiele w samotności.

Na kominie ani śladu ognia. Zapomniano drew przynieść. Kara zziębłe ręce przytula do czarnego futerka kota, śpiącego na jej łóżku.

Przez niedomkniętą blachę wpada raz po raz głośny jęk wichru... Łka, płacze, zawodzi, cichnie na chwilę, potem znów ze zdwojoną siłą uderza dziką pieśń rozpaczy.

— Głupie życie! — szepce Kara. — Po co też żyją smutni i ci, których nikt nie kocha. Przypomina jej się wiersz ulubionej poetki:

„Kochała, ale nie była kochaną.

„Więc utaiwszy płomień, co się żarzy,

„Uśmiech pogody dała mu ku straży.

„A płomień gorzał. Aż w jesienne rano

„Czy w zmierzchu — umarła, wytlona do końca...”

* * *

Śnieg wciąż pada i padał noc całą. Olbrzymie zaspę tworzą się na gościńcu, więc z gościnnego dworu w Jaworzu nikt z gości dotąd nie wyjechał.

— Będą poprawiny!... — wykrzykuje radośnie Emilka. — Namówię Witolda, żeby tańczył.

— To ci się nie uda... — mruknęła Kara.

— *Tek?* Zobaczymy. Powiedział mi wczoraj, że —

— Kończ! — woła niecierpliwie Kara.

— Ciekawas? Więc nie powiem. W każdym razie nie zazdroścę jego narzeczonej, ani, ani tobie!... Ale ubierajże się i chodź na dół...

— Nie pójdę!

Emilka wybiegła.

Kara wpada w głęboką zadumę. Myśl jej usiłuje wdrzeć się w najskrytsze tajniki moralnej istoty Witolda.

Miłość woła w niej, aby duszę, serce, siebie całą rzuciła pod stopy ukochanemu, instynkt moralny, samozachowawczy cichym szeptem podnosi głos oskarżający.

I nie chodzi jej już o jego miłość, która stoi na drugim planie, lecz jak dla materialnej cząstki jej istoty potrzeba powietrza, tak posępna jej dusza żyć może tylko bezwzględną wiarą w niego.

— Kocham, bo wierzę... — woła rozpaczliwie, chcąc zagłuszyć fałszywą strunę, co dy-

sonansem wpada w przecudną melodyę jej miłości.

Z salonu ku górze płyną dźwięki fortepianu. Kara słucha z napięciem. To Witold gra... Wstęp jej ulubiony do „Tanhäusera.”

Tam, na dole, nikt tego nie rozumie, nikt tego nie lubi... Więc jeśli gra, to gra dla niej...

Pierzchnął smutek i Kara zbiega do salonu, bardzo ładna w błękitnej sukni, która dziś wreszcie zastąpiła ulubiony jej kolor czarny.

Witold wstał od fortepianu. Wydaje mu się śliczną, więc dlatego właśnie mówi uszczypliwie:

— Cóż to za przemiana! Te błękity nie odpowiadają urodzie pani. Niech pani jasne kolory pozostawi pannie Emilii.

— Wszystko mi jedno... — odpowiada Kara. — Jak też pan lubi dokuczać...

— Cicho, dzieciaku!

I znowu ten dźwięk głosu, za którym ona przepada.

W najlepszej zgodzie rozpoczynają przechadzkę po salonie.

— Jakież nastroje duch pani przebywał? — pyta żartobliwie Witold. — Bo zapewne temu przypisać należy, ukrywanie się w samotności przez te kilka godzin. Co pani tam na górze robiła?

— Myślałam.

— *Tek?* Prawdopodobnie nad jakimś głębokim zagadnieniem z dziedziny metafizyki lub filozofii umysł pani pracował.

— Właśnie! — odparła przekornie. — Zastanawiałam się nad powinowactwem natury motyla z naturą serc męzkich.

— Czy wszystkich?... jaszczureczko złośliwa?

— Oczywiście. Tylko gramatyka obejść się nie może bez wyjątków.

— I jakież rezultat tych rozmyślań?

— Nie było żadnego, bo „Tanhäuser” cały porządek myślenia pomieszał.

— *Tek?*

Zajrzał jej w oczy głęboko.

Kara zmieszała się... Jak ona mogła to powiedzieć? Teraz już Witold wie, że dla niego przyszła.

A Witold, patrząc na nią, zapomniał się.

— „Kiedy kochać, to w szale zatonać na wieki...” — nieprawdaż, panno Karo? — szepce.

— „Kiedy kochać, to w *kochaniu* zatonać na wieki...” — poprawia Kara, podnosząc na niego śliczne oczy, pełne niezgłębionej miłości.

— Chciałbym też wiedzieć, co *dziecko* wie o kochaniu... — mówi lekko Witold, chcąc uczucia Kary przyprowadzić do równowagi.

— Dziecko? Ja nigdy dzieckiem nie byłam... — ze smutną powagą odpowiada Kara.

— Majaczenie. Zupełny dzieciak z pani. Dzieciak, przy którym taka panna Emilia np., choć podobno młodsza od pani, wydaje się ze swoją znajomością sztuki życia najzupełniej dojrzałą kobietą.

— A wszak niedawno porównywał ją pan do wiosny?

— To swoją drogą. Pani tego nie powiem, bo pani ze swoim posępnym tragizmem, porównania tego nie nasunie.

— O co się sprzeczcacie? — wpada na nich Emilka.

— O ciebie! — wtrąca niechętnie Kara. — Pan Witold...

— Powiedziałem, że mi pani przypomina wiosnę... — przerwał. — I nie cofam. Niech mi pani co ze swoich wiosnianych uroków udzieli...

— Naprzykład?

— Choćby pogodę tych jasnych oczu, pogodę czoła, wesele uśmiechu...

— A nad to wszystko piękniejszą pogodę ducha — wtrąca ironicznie Kara i odchodzi.

Witold patrzy na nią. Żal mu jej. Sprawił jej przykrość.

— Dzika dziewczyna... — myśli, lecz ten sposób zaczepno-odporny, jakiego używają względem siebie, sprawia mu ogromną przyjemność.

Stanowczo ta dziewczyna miłszą mu jest nad wszystkie. Zapomina, że jakieś tam Emilki istnieją na świecie i wychodzi za Kara.

Kara stoi na ganku w lekkiej sukni, zaledwie lekką również okrywką okryta.

— Mała waryatka! — mruczy gniewnie Witold, kładąc futro i pochwytywszy z wieszadła futerko Kary, zarzuca jej na ramiona.

Kara z impetem strąca okrycie.

— Niepotrzebnie się pan trudził...

— Sąd o tem nie do pani należy.

Podnosi flegmatycznie futro i zarzuca je ponownie na ramiona Kary.

— Proszę podnieść główkę, abym mógł zapiąć... — mówi nakazująco.

Kara podnosi posłusznie głowę i oczy ich spotykają się.

— Chyba musi kochać ten, kto tak patrzy... — myśli w upojeniu, i jakaś wszechpotężna, zawrotna moc bierze w posiadanie całą jej istotę.

Ach, na jedno jego skinienie poszłaby na męki, rzuciłaby się w przepaść.

Jego jednego ma tylko, jego jednego kocha.

— O czym? — pyta miękko Witold.

— O śmierci! — rzekła bez wahania.

— Co? Pani ma zawsze dzikie pomysły. I cóż znowu w tej chwili wywołało obraz śmierci w umyśle pani?

Uśmiechnęła się smętnie.

— A to takie proste!... — powiada. — Myślałam, że najwyższe szczęście graniczyć powinno tylko ze śmiercią, żeby nie było straszne przebudzenia.

Witold już ochłonął.

— Niech się pani strzeże, panno Karo... — rzekł obojętnie. — Jaki chochlik złośliwy mógłby panią podsłuchać i poszepnąć jej życzenie tajemniczemu *Fatum*, które losami rządzi.

— Nie dbam o to... — odpiera smutno Kara i w duszy jej gasną tęczowe blaski.

Oczy Witolda patrzą znów na nią chłodno, obojętnie.

— Dość tego dzieciństwa! Zimno, pójdźmy do salonu. Piękny nastrój dzwonić zębami!

Chce ująć jej rękę, Kara wyrывa mu ją szorstko.

— Nie pójdę. Mam słuchać bębnienia po fortepianie i patrzeć na bezmyślne kręcenie się w kółko manekinów. Wolę pójść...

— Do lasu? — drwi Witold. — Jak się podoba. Ale pamiętać proszę, że jak pani zbłądzi, szukać nie będę.

— I nie potrzeba... — odrzuca dumnie Kara; w sercu czuje mróz stokroć większy, niż ten na dworze.

Odszedł.

— Nie dba o mnie...

Wchodzi za nim do sieni i widzi, jak zrzucający futro, zgrabna jego sylwetka znika w powodzi światła w otwartych drzwiach salonu.

— Karo, co ty tu robisz? — pyta, przebiegając się pani Marynia.

— Głowa mnie boli, idę na górę...

Istotnie, głowa ją boli. Chwilami ma takie uczucie, jakby jej czaszka pękała i odgłosy muzyki, tupotania par tańczących doprowadzają ją do szaleństwa.

— Nie wytrzymam! — krzyczy niemal, choć jej nikt nie słyszy.

Na dworze zmierzch pada. Wicher szaleje... Nic to... Ona musi pójść w tę zamieć, w ten mrok, bo ta burza, co w niej szaleje, stokroć gwałtowniejsza.

Otula się ciepło i wychodzi.

— Powiedział, że mnie szukać nie będzie... — myśli, idąc drogą ku lasowi, — ale gdybym długo nie wracała, z pewnością się zaniepokoił. Boże, czemu ja nie wiem, po czem poznać, jeśli kto kocha prawdziwie!...

Brnie dalej po śniegu, zapadając w zaspę po kostki; wicher ciska jej w twarz mokrym śniegiem, chłodząc rozpalone czoło.

Weszła na brzeg lasu.

Mrok już tam zupełny, ale widno od śniegu. „Te głupie lalki Marynia, Tecia, Emilka umarłyby ze strachu...” — myśli z pogardą. Czego się tu lękać?... Chyba samej siebie. Obejrzała się.

Wicher zmiotł śnieg z dębów i czarne ich konary wydają jej się, niby potworne ręce, które wyciągają się ku niej, by ją zdusić w uścisku.

Możeby wrócić?... Noc zapada... Nie! On musi przyjść...

I znów szalony przypływ nadziei wstrząsa nią.

Jeśli przyjdzie, to znak, że kocha. A potem co? Potem... Powie tej lalce, która, jak mówi Marynia, kochała się już przed poznaniem Witolda z dziesięć razy, że się rozejść muszą. Małżeństwo bez przywiązania to gwałt, bezprawie...

Usiadła na pniu.

— Musiałby tędy iść, bo innej drogi niema...

Mróz zaczyna ją przejmować na wskróś, lecz z upartą zaciętością swej nieokiełznanej natury, czeka wytrwale.

Przymyka oczy, wywołując w pamięci obraz sceny w ganku.

„Kiedy kochać, to w szale utonąć na wieki...” — powtarza w upojeniu.

Wyteża wzrok na drogę. Coś tam czarne go majaczy ode wsi... To on, to on!

Stanąła na pniu i wspina się na palcach.

— Nie, to drzewo... — szepce z goryczą z wodu.

Znów siadła. Nie spała noc całą i senność ogarnia ją przemocą.

Zadrzemała.

— Co to? — budzi się skostniała. — Co się ze mną dzieje?... Nie widzi drzew, nie widzi nieba i nie koło siebie prócz białych płatków, które zasypują ją całą.

— Boże, co ja zrobiłam!

Groza położenia, poczucie samotności zupełnej, budzą w niej instynkt zachowawczy. Zapomina o celu swej wycieczki i tylko pra-

gnie za jaką bądź cenę, znaleźć się między ludźmi.

Zaczyna biedz o ile pozwala wicher, miotający tumany śniegu. Lecz zamiast do gościńca, daży w przeciwną stronę.

— Ja tu zmarzną chyba... — Jutro znajdą mnie nieżywą... Co też on powie...

Tak bezładnie płaczą się jej myśli, że już prawie nie wie, co się z nią dzieje.

— Witold... Witold!... — krzyczy ostatnim wysiłkiem głosu. Osunęła się w śnieg... Zemdlała.

* * *

W chatce Jakóbowej, ogień na kominie trzaska i syczy.

Przed ogniem na zydelku siedzi Kara, otulona kożuchem staruszki. Patrzy w ogień posępnie, głowa jej tak dziwnie ciężka...

Stara krząta się po izbie. Nastawiła już garnek z wodą, by panienkę rozgrzać herbatą. I wciąż gderze.

— Jezusie kochany! Czy to panienka małe dziecko? A toć psa ciężko wygnąć. Chyba Matka Najświętsza Walentego natchnęła, że tamtędy obrócił drogę.

Nalala herbaty w kubek.

— Niech panienka pije, żeby ten zamróz z panienki wyszedł. Dobrze, co jeszcze miałam krzyneckę arbaty od pana z Leśmina. Niech mu Bóg da zdrowie!

Pan z Leśmina?

Budzi się z letargu przytępiiony umysł Kary. Już teraz wie wszystko! Zemdlała w lesie i byłaby zmarzła.

Walenty, gajowy, znalazł ją... Witold zapomniał... Cóż dziwnego! Flirtuje pewno z Emilką. Ślepą była chyba. Ale za to teraz widzi jasno, preraźliwie jasno. Skończyło się! Powinna być wdzięczną Walentemu — jak mówi poczciwa ta starowina — że ją znalazł w lesie, tam na śniegu. O, jest mu tak wdzięczną, że całą siłą woli wtłacza napowrót w gardło rozpaczne łkanie, co wstrząsa jej piersią.

Byłaby odeszła w ciszę, a teraz szarpie się, mociuje z bólem, którego nie zmoże.

— Czemu to panienka nie pije arbaty? — gderze Jakóbową.

Kara zęby zaciska. Drażni ją. Ona łaknie ciszy całą siłą cierpienia. Tylko wicher niech szaleje, niech burzy, niech niszczy... Z tem jej dobrze...

Jakóbową dorzuca świeże polano drzewa na przygasłe węgle.

Kara wpatrzona w ogień, śledzi posępnie proces zniszczenia.

Oto płomień chwyta już swoją ofiarę podstępnie, obejmuje węzowemi sploty coraz gwałtowniej, wysysa soki żywotne, pożera!.

— Kupa popiołu, ot i wszystko! — myśli Kara.

I ona rzuciła tak na ofiarę całopalną wszystką moc kochania i wszystką wiarę. Odwieczne prawo fizyczne, nie więcej!

— Dziwno, co jeszcze nie jadą ze dwora po panienkę... — mówi Jakóbową. Kury pieją na świtanie.

Kara wstrząsa się nerwowo.

Prawda! Zapomniała... Tylko patrzeć, jak przyjadą po nią konie... Ale ona Witolda widzieć nie chce... Nie chce! Nie zniosłaby tego! Niech się żeni ze swoją pozłacaną lalką,

skoro mu jej posagu potrzeba, niech flirtuje z takimi Emilkami... I... niech będzie szczęśliwy, jeśli mu to wystarczy...— drzy szept ci chutki w tajnikach jej duszy, bo wśród popielisk, tli tam jeszcze ostatnia iskierka wiary w stracone bóstwo!

Ale ona nie zostanie za nie między temi ludźmi!... Pójdzie w świat daleko... Rzuci się w wir pracy, niech zniszczy, zgryzie ciało, jak ból zżarł duszę.

O tak! Zapamięta się w pracy ciężkiej, najcięższej, byle sięgnąć jak najprędzej po ten spokój, którego żaden zgrzyt ziemski już nie przerwie.

— Szczęście przeszło jak sen... — szepce z tklwym uśmiechem matki, wpatrzanej w rysy zmarłego dziecięcia.— *Tek!*



Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, 28-go lipca 1902 roku.

W Paryżu wre...

Kto zna jednak dobrze Paryżan, ten wie, jak słomianym ogniem palą się ich największe entuzjazmy i wiele krzykactwa i pustej chęci krzykactwa kryje się pod najgorętszą nawet na pozór manifestacją. A jednak zgromadzenia uliczne są teraz nader poważne, boć przecie te maleńkie, domowe rewolucyjki mają istotnie poważny powód.

P. Combès, prezes ministrów, do niedawna znany szczupłej zaledwie garści osobistych znajomych, znalazłszy się u steru państwa, postanowił przejść wytrawnego polityka a poprzednika swego, p. Waldeck-Rousseau. Ten zawiesił, jak miecz Damoklesowy, nad głowami kongregacyi dekret, nakazujący zamknięcie szkół, utrzymywanych przez księży i zakonnice, p. Combès zaś, aby zdobyć szewrony popularności ulicznej z całą zapalczywością wziął się do surowego stosowania tego edyktu.

I gdzież się to dzieje?

We Francyi, w Rzeczypospolitej, której urzędnicy najwyżsi co chwila w swych mowach utrzymują, że są tylko „narzędziem woli ludu,“ że lud rządzi przez nich.

Ale gdy znaczna część tego ludu protestuje przeciw drakońskim rozkazom p. Combès, wówczas on przestaje pamiętać o tem, że wolę ludu ma wypełniać i każe swym agentom policyjnym z niesłychaną brutalnością bić, mordować, szarpać ubranie na strzępy, wlec po ziemi i okrwawiać tych wolnych obywateli, którzy śmiać być innego, niż on zdania.

Dawno już dowiedziono z matematyczną ścisłością, że tak zwana reprezentacja ludu, t. j. partyi, jest niemożliwą przy dzisiejszym systemie wyborów.

Przypuśćmy, że w okręgu liczącym 10,000 ludzi, będzie 4,600 zachowawców i 5,400 socyalistów, to ci ostatni wybiorą deputowanego ze swej grupy, który naturalnie będzie popierać tylko ich interesy, a owych 4,600 wyborców konserwatywnych nie mają właściwie zupełnie reprezentanta w Izbie.

Izba decyduje wypędzenie zakonów i za-

mknięcie szkół trzymanyh przez kongregacye, decyduje zaś to większością głosów, a tymczasem w całej Francyi grzmi groźny głos protestu.

Trzeba dobrze wnikać w istotę życia Francyi, w ustrój wewnętrzny jej bytu, aby pojąć, jak wielką krzywdę czyni sobie Francya, znojąc szkoły kongregacyjne.

Pod względem wykształcenia Francya stoi bardzo wysoko, ale tylko dodajemy, że mówimy tu o mężczyznach. Zobaczmy, jak stoją sprawy, gdy chodzi o dziewczęta. Dwa są rodzaje dyplomów: dyplom niższy, otrzymywany przez znakomitą większość dziewcząt, i dyplom wyższy, bardzo trudny do uzyskania, otrzymywany przez stosunkowo nieznaną ilość panien.

Na kurs programu niższego składają się: arytmetyka, historia Francyi, geografia Francyi, dyktando, ćwiczenia piśmienne, kaligrafia, rysunki, spacer, roboty ręczne, uważane jako przedmiot, na równi z nauką historii, kaligrafią i ćwiczeniami piśmiennymi. W każdej klasie wszystkich przedmiotów udziela jedna nauczycielka.

Rzecz prosta, że po wyjściu ze szkoły dziewczynka taka wie tyle, ile u nas uczennica z trzeciej klasy; w szkołach, utrzymywanych przez siostry, wszystkie przedmioty są wykładane tak, aby o ile tylko można, zaszczerpić w duszy dziecka zdrowe, moralne zasady, o które zgoła nie dbają nauczyciele szkół świeckich, rządowych, zastępujących moralny podkład frazeologicznymi wycieczkami w kierunku patryotyzmu o zabarwieniu nader liberalnem, przedstawiając kościół, jako wroga postępu. Z drugiej strony jest w każdej Francuzce coś zepsutego, a jak mi niedawno powiedziała pewna wybitna literatka tutejsza, „Francuzka rodzi się zepsuta.“

Skoro nie dadzą jej hamulca moralnego, skoro wrzące w niej i zrywające się do użycia buntury krwi gorącej nie zostaną zrównoważone jakimś moralnymi zasadami, czyż dziwić się można, że Francya jest krainą wiarołomstw, zbrodni erotycznych i wszelkich zbrodni na tle płciowem.

A rząd dzisiejszy, biadający nad różnemi niedomaganiem Francyi, chce jej wyrwać i to ostatnie jej dobro: tę odrobinę moralnych uczuć, wszczepianych w młode dusze przez zakłady kongregacyjne.

Ale zapędy sekciarskie przemogły logikę: edykt wydano i nastąpiły wygnania i zamknięcia szkół. Parę tysięcy ludzi pozbawia rząd chleba—biedne nauczycielki-zakonnice, a parę set tysięcy dzieci zostaje bez odpowiednich uczelni.

Ale piękne napisy o „wolności, braterstwie i równości“ odmalowują się i odświeżają, teraz, przez miesiące letnie, na ważniejszych budynkach publicznych.

Przeciw rozporządzeniom p. Combès zaprotestowała ludność.

Odbyły się manifestacje, w czasie których pobito i poszarpano ubranie na starym Franciszku Coppée, obito i poobdzierano ubranie na deputowanym Pugliesi-Cocat, a wszystkie te wysokie czyny zapisują się na dobro najdzikszej i najnikczemniejszej policji świata, jaką są podwładni p. Lepine.

Ciekawą niezmiernie była manifestacja ko-

biet, które gromadą, złożoną z trzechset osób, udały się do Elizeum, gdzie ich naturalnie nie przyjęto, a po długich pertraktacyach delegatki uzyskały rzekome zapewnienie pani Loubet, że wstawi się za proszącami o przywrócenie szkół kongregacyjnych do p. Combès.

Naturalnie nie uczynić nie mogła i deputacyi dam francuzkich z panią baronową de Reille na czele, zupełnie nie przyjęła, motywując swój krok tem, że się jej do polityki mieszać nie wolno.

Imponującą była dzisiejsza demonstracja na placu de la Concorde, gdzie olbrzymie tłumy wołały o wolność, entuzjastycznymi okrzykami witając przechodzących księży, których znowu niesfornymi żartami i biciem spotykali zgromadzeni również licznie socyalisci. Bójki i walki zakończyły się krwawo, bo wiele osób zostało ciężko poranionych.

Elizeum było otoczone wojskiem i dostępu nie udzielano nikomu, naturalnie więc nowa deputacya dam, złożona z hrabiny de Mun, baronowej de Reille i innych pań, nie została dopuszczoną do ministerium spraw wewnętrznych. A wszystko to dlatego, że każdy obywatel francuzki jest częścią władzy rządzącej i ma prawo decydować o wszelkich ważnych zmianach prawodawczych.

Patrzac głębiej w przyszłość, zdaje się, że ów reformatorski ruch, rozpoczęty przez p. Combès, jak najgorsze przyniesie Francyi owoce.

Przedewszystkiem zaostriża niepotrzebnie nienawiści partyjne, wylewa krew i dzieli synów jednej ziemi na dwa wrogie, nieubłagane nienawistne obozy.

Francya bynajmniej nie jest dzisiaj na wyzinach: finansowo jako państwo ma duży deficyt, który niewiadomo czy p. Rouvier zalecać potrafi; kolonie kosztują dużo, a przynoszą mało. Polityka kolonialna, jeśli wierzyć pewnym odłamom prassy, była dziełem, dążącym do osłabienia Francyi, przez rozstrzelanie jej akcji koncentracyjnej wewnętrznej, gwoli łatwiejszego wydania jej na łup nieprzyjaciolom.

Moralnie Francya upada coraz niżej. Świadkiem te wstrętne oszustwa, gnębiące najwybitniejszych ludzi, świadkiem ta literatura, produkująca coraz więcej zgnilizny.

Oświatę popiera Francya dzisiejsza w sposób dość dziwny, bo zamykaniem szkół, a sprawiedliwość tutejsza jest tak niesłychanie niesprawiedliwa, że organy wszystkich partyi nawołują do reformy.

Obecne manifestacje o odcieniu klerykalnym są bardzo miarodajne, a dzienniki słusznie uskarżają się, że Rzeczypospolita zaczyna być niezdrową, że czegoś jej brak, i że kto wie może „blizkim jest ten, co ją zastąpi.“ Tak czy owak, popełnia się dzisiaj we Francyi krzywdząca niesprawiedliwość, którą historya przyszłości trzeźwo i beznamiętnie osądzi.

* * *

Skończyły się tu dopiero obrady międzynarodowej konferencji w sprawie handlu żywym towarem. Witani przez ministra spraw zagranicznych p. Delcassé, żegnani przez ministra sprawiedliwości p. Vallé, członkowie kongresu uchwalili podobno dużo wniosków, bardzo skutecznych rzekomo.

Czy tak istotnie dobroczynnymi okazały się rezultaty konferencji—nie wiem, faktem jest wszelako, że policja tutejsza robiąc częste posęgi, znajduje całe „składy“ żywego towaru, oswabada dziewczęta mające po dwanaście, czternaście lat, ale nie może, z braku formalności proceduralnych, położyć ręki na samych handlarzach, którzy ostatecznie wychodzą wolni i operują dalej.

Ciekawym był, ogłoszony przed paru dniami, list pani Lebaudy, będący w związku ze sprawą handlu dziewczętami, a jednocześnie ze sprawą zamykania szkół kongregacyjnych.

Pani Lebaudy zwraca uwagę, że niema zbyt wiele moralności we Francji, i że zamknięcie szkół o zasadzie religijnej wzmoże niewątpliwie kontyngens nieszczęśliwych, chwytnych w sidła przez ohydnych handlarzy.

Z drugiej wszakże strony, wymówiono pani Lebaudy, znanej milionerce, że w jej fabryce dziewczęta pracujące przy rąbaniu cukru i pakowaniu go w pudełka, pracują, jak białe murzynki, za niesłychanie niską zapłatę, i że wśród nich wiele znajdują materyału handlarze.

* * *
 „Wystawa pracy i sztuki kobiecej...“

Tak szumnie zatytułował komitet wystawę od niedawna otwartą w t. zw. cieplarniach miejskich, nad samą Sekwaną, gdzie niegdyś było akwaryum wystawowe.

Kiedy mi sekretarz wystawy ofiarował program, przygotowałem się uroczyście na zwiedzenie czegoś bardzo ciekawego: dział naukowy, dział społeczny, ekonomiczny, sztuka, albo ja wiem co jeszcze...

A tymczasem?

Zobaczyłem chaos, nieporządek, puste gabloty, a jeśli i zapełnione, to bezpożytecznie, bo żadnych napisów niema, ani sposób się dowiedzieć, co dany okaz przedstawia; przytem wielka ilość okazów nie ma żadnego związku z pracą i wytwórczością kobiety, a że planu i ładu brak, jest się, jak w śmieciisku, na które zrzucono furę pozbieranych zewsząd przedmiotów, nie wiadomo po co i na co.

Jest tam sporo haftów i wyrobów przesłanych przez Paryżką szkołę rękodzielniczą, ale rozrzucono to po całej hali bez składu.

Są dwa namioty wypełnione manekinami w kostyumach serbskich, dalmackich i czarnogórskich, jest kollekcyja fotografii (ze dwadzieścia) kobiet z Cejlonu i Algieru, jest trochę amuletów od przeróżnych nieszczęść, wystawionych wraz z fotografiami kilku hysteryczek przez d-ra Berillon'a, jest „Horoskop“ Maryi Żeleńskiej i portret pani Landowskiej, malowany pastelami przez Leona Kaufmana; znalazłem też litografię Norblinowskiej „Handlarki flaków“, wreszcie w jakiejś gablocie poniewiera się „Mazurek“ Krzyżanowskiej, dopełniając tem „dział polski.“

Nieco haftów i materyi algijskich i japońskich, trochę wzorzysto wyszytej bielizny węgierskiej, nieco niezłych miniatur i koniec.

A prawda „Alliance pour la propagation de la paix par l'éducation“, wystawiło sztandary narodowości, które biorą udział w tem stowarzyszeniu, przyczem sztandar polski z Krakowa wyróżnia się piękną robotą, okalając portret przewodniczącej księżnej Wiszniewskiej, oraz wice-prezydentki p. Maryi Szeligi.

Trochę muzyki, odczyty, słabe po większej części, atrakcyje bardzo średnie—słowem *fiasco*.

Zdziwiał poprostu śmiałość tych, którzy takie wystawy urządzą, rozlepiają afisze, zapraszają prasę, każą publiczności płacić za wejście, kiedy na bulwarach w sklepach widzi się tysiakkroć ciekawsze i piękniejsze przedmioty... za darmo.

* * *
 Ciekawe i niebezpieczne doświadczenie zrobił tu na sobie niejaki dr. Garnault, zastrzyknąwszy sobie zarażone perlicą tkanki zwierzęce.

Chodzi mu o dowiedzenie i sprawdzenie zaraźliwości tuberkulozy bydłowej, więc zrobił doświadczenie na samym sobie.

Ryzykuje życie, bo jeśli naczynia limfatyczne zapalą się i przerwą, wówczas operacyja będzie ciężka, bolesna, a kto wie, czy uratuje życie odważnego lekarza.

Dotychczas jednak ma się dr Garnault dobrze, chociaż powtórzył zastrzyknięcie.

* * *
 Prawdziwą sensacyję zrobił w Paryżu dziennik „Matin“, którego wieczorne wydanie nosi tytuł „Le Français.“

Pisma te zainaugurowały zupełnie nowy system premii, tak nowy, że zdumiały się nawet, mistrze w tej mierze, pisma amerykańskie.

Oto pewnego dnia ogłosił „Matin“, że od 15-go lipca każdy czytelnik trzymający w ręku lub czytający „Matin“ do trzeciej po południu, a „Français“ od tej godziny do późnej nocy, jest wystawiony na spotkanie się z jednym z współpracowników pisma, który mu w imieniu redakcyi wręczy bon na premium, będące pudłem rękawiczek, willą zupełnie umeblowaną i urządzoną, samochodem, laską, wachlarzem i t. d. Najmniejsza wartość ofiarowanego przedmiotu przechodzi dziesięć franków, a najwyższa, owa willa pod Paryżem, przeniesie 20,000 franków.

Redaktorowie „Matin“ dostają co rano i po obiedzie instrukcyje, w jakiej okolicy i w jaki sposób mają rozdawać nagrody i do dzisiaj wręczyli ich przeszło tysiąc, ku wielkiej ucieście czytelników. Nic zabawniejszego nad widok Paryżan, spacerujących z „Matin'em“ w dłoni, rozglądając się w koło, czy wśród przechodniów nie znajdzie się czasami ów upragniony współpracownik „Matin'a“ z kopertami „Niespodzianek.“

Że zjedna to pismu szaloną popularność i przyciągnie setki czytelników, wątpić nie należy, jest to bardzo proste; każdy i tak musi codzień kupić jakieś pismo, kupując „Matin“, może jeszcze coś dostać, więc wszyscy mają nadzieję, a niektórym opłaciło się ono sowicie; wygrali losy, obligacyje, monocykle, nawet obroże dla psów...

* * *
 O Humbertach przycichło...

Zapomniano o nich w rozgardyaszu walki o kongregacyje.

Sędzia śledczy zaczytuje się aktami, starami szpargałami, uczy się ich na pamięć, ale samą najistotniejszą częścią sprawy, szukaniem winnych nikt się nie zajmuje.

Przed paru dniami sędzia śledczy otrzymał wiadomość anonimową, że rodzina oszustów siedzi sobie spokojnie w Grecji w jakimś

klasztorze św. Dyonizego, patrona uciekających przed karą.

Ludność miejscowa tak święcie wierzy w to, iż ów Dyonizy otacza opieką swą winnych, że nie pozwoliłaby nigdy na ujęcie poszukiwanych z obawy gniewu świętego.

Podobno mają się zarządzić poszukiwania w Grecji... ale zdaje się, że Humbertowie mają lepszego patrona nawet od św. Dyonizego.

* * *
 Na zakończenie słówko o dorocznym egzaminie i popisie Konserwatorium paryskiego. Dodiódł on raz jeszcze, że owa szkoła, z której wychodzą przyszli pensjonarze Domu Molière'a i gwiazdy dla oper, gwałtem domaga się preistoczenia.

Aż śmiesznymi są ci panowie i te panie, deklamujące patetycznie, z dykeyą z przed stu laty najstraszliwsze sceny z arcy-klasycznych tragedyi, w sukniach od Redferna wspólnie z panami we frakach i białych rękawiczkach. Przytem, prawdę mówiąc, chociaż nagród rozdano dużo, talentów prawie nie było.

Jedna może panna Rock, uczennica Sylvain, była dobrą w Roli Roxany z „Bajazeta.“

Po za tem zdumiewać się trzeba, że rząd pozwala na te przedstawienia w salce przy ulicy Poissonière, tak brudnej i tak ciasnej, że w razie katastrofy niktby ztamtąd żywy nie wyszedł.

Ale zapominam, że gdyby to był teatr prywatny, dawnoby go komisya teatralna zmiotła, ale to jest teatr rządowy, więc...

Przypominam sobie rozmowę słyszaną przed paru dniami na imperyalu omnibusu.

Dwóch robotników rozmawiało o ostatnich zajściach, jeden z nich rzekł:

— We Francji dzisiaj niema już nic: ani szacunku praw, ani sprawiedliwości, i, ot, daję słowo, chociażem dobry patriota, ale chciałbym, żeby Wilhelm II-gi przyszedł tu zrobić trochę porządku, bo my sami rady nie damy.

A kiedy tak mówi naród — to jest bardzo smutne.

K. D.-S.

Co modne w Paryżu?

Ze stolicy świata, ze stolicy mody przysyłać wam będę te kartki ulotne, w których zaledwo notować będę te wszystkie, tak ciągle zmienne przebłyki mody, coraz inne, coraz nowsze, bo życie szerokiego świata wartką płynie strugą, co chwila nowe przynosząc barwy.

Paryż nie lubi nic długo — Paryż musi mieć ciągle coś nowego, jak kapryśna kobieta, a że najkapryśniejsze kobiety tworzą modę, więc też coraz się zmieniają jej przykazania, tak pilnie przez elegantki na obu półkulach strzeżone.

Epoka podróży—czas wyjazdów, więc słówko o kostymie do podróży.

Nosi się spódnice okrągłą, niedługą, aby nie zamiała kurzu, z materyi dość sztywnej, aby nie używać podszewki w kolorach *beige* i *popielatym*. Z tegoż samego materyału robi się *bole-ro*, ale zastąpiono je przeważnie przez *paltocik-sac*, bardzo krótki, który się kładzie na bluzkę. Tym sposobem można nie nosić gorsetu, męczącego zawsze w podróży. Jako kapelusze, *canotier* jest jeszcze zawsze modny, byle miał szerokie brzegi i główkę ściśniętą w nasadzie. Za-

czynają go jednak zastępować kapeluszem *forme amazone*, przybranym gazą, która spina się z lewej strony w dwa duże *choux*, często spięte modernistyczną agrafą. Jest to miłe, ale nie dla wszystkich twarzy stosowne.

Ostatnia moda każe inaczej jednak przybierać kapelusze, dając im pewne artystyczne piętno. Nowa ta moda polega na zahaftowaniu słomy z wierzchu i pod spodem, wybierając na model kwiaty jabłoni, gwoździków, do woli, rzucając bukiety lub pojedyncze kwiaty trochę w nieładzie umyślnym. Kilka listków i parę łodyg dopełnia ubrania, które jest istotnie śliczne. Niektóre panie dorabiają jeszcze liście wycięte z sukna, które się nazywają *en relief*.

Moda szybko się zmienia, więc owe krótkie pelerynki, tak do niedawna używane, zaczynają już znikać. Najwięcej są noszone pelerynki o szerokich rękawach, nie gniotące lekko i powiewne tkaniny sukien. Bardzo często noszą wielkie kołnierze koronkowe, o długich skrzydłach, które się w pasku spina broszką. Część stanowiąca sam kołnierz, może być okrągłą albo czworokątną do woli.

Bardzo modne są boa z piór strusich, zawsze białe albo popielate, nie inne.

Mogą być z marabutów, byle były bardzo puszyste; nosi się boa bez spięcia, aby falowało swobodnie wzdłuż figury, łącząc tylko czasami końce łańcuszkiem z drożym kamieniem.

Buciki noszą się wysokie z jasnej skóry; najmodniejsze, choć nieładne, są pończochy wiśniowe i czerwone bardzo jaskrawe, albo czarne z białem.

Słówko o angielskiej metodzie pozbywania się zmarszczek.

Należy zamknąć oczy, pozwalając rysom rozciągnąć się, jak do spania, po chwili należy wolniutko otworzyć powieki i tak po parę razy. Należy przez ten czas i w ogóle unikać wszelkich nadmiernych ruchów mięśniami twarzy, brwiami, nie należy się zbyt śmiać, najlepiej zaledwie się uśmiechać.

Tak robią Angielki.

Jeszcze coś o listach.

Używa się papieru listowego naśladowującego grube płótno, w kolorze niebieskim zimnym.

U góry można wyryć herb albo adres, ale nigdy monogram, — jest to nadzwyczaj niemodne.

Największe modnie używają papieru jasnoniebieskiego, atramentu ciemno-niebieskiego, pieczętując białym lakiem.

Na listy oficjalne, zaproszenia, w ogóle w korespondencji nieosobiście przyjacielskiej używać należy papieru białego średniego formatu.

Adresować należy tak: naprzód nazwa miasta, potem bliższy adres, a na koniec dopiero nazwisko adresata.

Tak czynią największe elegantki.

Parisia.



Kronika działalności kobiecej.



— W drugiej połowie z. m. „Międzynarodowa Rada kobiet“ (*International Council of Women*), odbyła swe roczne zgromadzenie (*Executive Meeting*), w Kopenhadze. Przewodniczącą była pani Sewall z Indianopolisu. Biorącemi udział w Radzie były: pani Konens z Holandii, dr. panna Ellen Sandellin ze Szwecji, dr. pani Schwartzwald z Austrii, pani Stritt z Niemiec, panie: Sanford i Dignam z Kanady, pani Dolwon z Tasmanii, i pani Young Gates ze Stanów Zjednoczonych. Duńską „Radę kobiet“ reprezentowała przewodnicząca jej, panna Forchhammer.

— Władza szkolna w Medyolanie zwróciła się do Stowarzyszenia „Union feminine“ z prośbą o pomoc w wyszukiwaniu dzieci, uchylających się od uczęszczania do szkoły. Liczba

analfabetów we Włoszech, jest jeszcze bardzo znaczna. Przecięciowo wypada 52% ogólnej ludności. W Lombardii, która uchodzi za część kraju najbardziej oświeconą, nie umiejących czytać liczą 46%. Jako powód, dla którego dzieci ociągają się chodzić do szkoły, podają ubóstwo rodziców i brak odzienia. „Union feminine“ bardzo gorliwie zakrzętnęło się gwoli zaradzenia złemu.

— Niedawno wspominaliśmy o panie Horak, jako o pierwszym żeńskim naczelniku stacji drogi żelaznej. Do wzmianki, że panna Horak urząd ten pełni na stacji Vilpian, przy drodze żelaznej Bozen-Meran, dodajemy kilka szczegółów, dotyczących dzielnej pionierki na nowej drodze działalności, dawniej zupełnie zamkniętej dla kobiet. Panna Mizzi Horak jest Wiedenką i liczy obecnie lat 24. Po ukończeniu ogólnego wykształcenia, uczyła się w Wiedniu na kursa handlowe i świetnie zdała z nich egzamin. Zrazu zarabiała na siebie w kantorze handlowym, potem otrzymała posadę na kolei żelaznej. Przez półtora roku zastępowała kontrolera przy międzynarodowym Towarzystwie wagonów sypialnych, a w roku zeszłym weszła, jako urzędnik do biura kolei Bozen-Meran. Krótko przedtem dyrekcja tejże kolei wystąpiła do ministerium dróg żelaznych z prośbą o dopuszczenie kobiet do służby ruchu. Ministerium prośbę rozważyło i panna Horak została przyjętą tytułem próby. W październiku z. r. przeniesioną została z Wiednia do Untermais i na Nowy Rok 1902 była nominowaną jako aktualny urzędnik kolejowy. W lutym złożyła egzamin telegrafistki i z powodzeniem przebyła próbną praktykę przy służbie ruchu. W lipcu objęła stanowisko naczelnika stacji Vilpian i przez całą służbę kolejową, jak również i przez dyrekcję, cenioną jest wysoko za wielką przytomność umysłu i za gorliwe, skrupulatne wykonywanie przyjętych na siebie obowiązków.

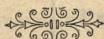
— Na pamiątkę zasług jednej z pierwszych pionerek ruchu kobiecego na Węgrzech, pani Herminii Veres-Bennzky, stowarzyszenia kobiet węgierskich zajęły się wydawnictwem obszernego dzieła, obejmującego dokładny życiorys i historię działalności zasłużonej jubilatki, oraz historię emancypacji kobiet węgierskich i osiągniętych owoców pracy w różnych dziedzinach.

— Na międzynarodowej wystawie sztuki w Peszcie przyjmuje udział wiele artystek. Państwo zakupiło mistrzowskie płótno Elzy Kalmar „Nad brzegami Arna.“ Obraz „Marzenie“ Zofii Strobl i brązowa statua „Salome“ wymienionej powyżej artystki, Elzy Kalmar, bardzo rychło znalazły nabywców.

— Międzynarodowy kongres kobiecej zapowiedziany jest na rok 1904-ty w Berlinie. Głównymi punktami, nad którymi kongres obradować będzie, są: ustosunkowanie pracy dozorczyń w szpitalach, utworzenie nowych szkół dla pragnących poświęcić się temu zawodowi; propaganda przeciw szerzącej się niemoralności; zabezpieczenie bytu kobietom pracującym w fabrykach.

— Nowe pismo, poświęcone specjalnie sprawom kobiecym, ukazało się w Berlinie p. t.: „Frauendienst.“ Pismo to, z wykluczeniem spraw politycznych i religijnych, obejmuje w szerokim zakresie dział pracy w najrozszerzonych kierunkach, oraz dział wychowawczy.

Z. S.



Wystawa zabawek i gier.



W drugiej połowie września r. b. otwartą zostanie w Warszawie wystawa zabawek, lalek, gier i zabaw dzieciennych, kostyumów używa-

nych przy grach, oraz przedmiotów, mających z tem związek.

Wystawa trwać będzie cztery tygodnie i mieścić się będzie w siedzibie cyklistów na Dynasach.

Pp. przemysłowcy i kupcy, pragnący wziąć udział w wystawie, zechcą nadsyłać deklaracje, z oznaczeniem:

a) rodzaju przedmiotów, które pragną wystawić;

b) obszaru miejsca w lokciach kwadratowych, potrzebnego im;

c) zobowiązania wniesienia zaraz po otrzymaniu żądania Komitetu należności za miejsce, licząc po rubli 2 za łokieć kwadratowy w halli i po rubli 1 na placach otwartych;

d) poddanie się regulaminowi wystawy.

Kupcy, pragnący odbywać stałą sprzedaż przedmiotów, znajdujących się na wystawie, obowiązują się składać 10 procent od sumy brutto otrzymanej ze sprzedaży towarów do kasy Komitetu, na rzecz Towarzystwa opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi. Osoby prywatne pragnące wystawić jakiegobądź przedmioty, wchodzące w zakres niniejszej wystawy, zechcą zwrócić się z tem do kancelaryi wystawy (Krakowskie-Przedmieście, 17, w lokalu „Kuryera Codziennego“).

Komitet wystawy uprasza osoby, posiadające niepotrzebne im zabawki, gry lub inne tego rodzaju przedmioty, o składanie ich w ofierze, celem sprzedaży na dochód wyżej rzeczzonego Towarzystwa, pod adresem również kancelaryi wystawy.

Pp. kupcy i przemysłowcy, życzący sobie pomieścić ogłoszenie w katalogu wystawowym, zechcą się zgłaszać do kancelaryi wystawy od godziny 10-ej do 12-ej w południe.

Komitet wystawy ogłasza tymczasem następujące konkursy:

1) Na najlepszy oryginalny pomysł zabawki, nagroda I-sza—25 rb., nagroda II-ga—10 rb.

2) Na pomysł najlepszej gry towarzyskiej pokojowej dla dzieci, nagroda I-sza — 25 rb., nagroda II-ga — 10 rb.

3) Na pomysł najlepszej gry towarzyskiej na świeżem powietrzu, nagroda I-sza — 25 rb., nagroda II-ga — 10 rb.

4) Na najhygieniczniejszy ubiór dla dzieci przy grach i zabawach, nagroda I-sza — 50 rb., nagroda II-ga — 25 rb.

Oprócz tego będą przyznawane nagrody w postaci dyplomów honorowych, tudzież dyplomów na medale złote, srebrne i brązowe, oraz listy pochwalne:

1) za najlepszą kolekcję zabawek;

2) za najkompletniejszą kolekcję lalek w strojach ludowych swojskich;

3) za największą kolekcję zabawek, przez lud nasz po wsiach wyrabianych.

Treść numeru:

Kobieta naszej doby, przez Zofię Seidlerową. — Przystań, powieść współczesna, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Zakopane (wiersz), przez Bożymira. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Alexandra Bolesława Brzostowskiego (ciąg dalszy). — Jak sen..., nowella, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dokończenie). — Z listów do „Bluszczu.“ Z Paryża, przez K. D.-S. — Co modne w Paryżu? przez Parisię. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz siódmy „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 24). — Przepisy kuchenne.



EDELWEISS DE LA TZARINE

NOWE MODNE PERFUMY

Essencja, Mydło, Puder ryżowy, Woda i t. p. i t. p.

Victor Vaissier, Perfumerja w Paryżu po za konkursiem. Członek Jury na Wystawie 1900 r., prawdziwy wynalazca Mydła Congo Imperial.

ANNA JASIEŃSKA

przełożona VI-cio klasowego Zakładu naukowego

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

ul. Hr. BERGA Nr. 8.

Ma zaszczyt zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów kształcącej się młodzieży, że zapis na rok 1902/3 rozpocznie się 20 sierpnia. Egzamin 2 i 3 września. Kurs nauk 4-go września. Metryka i świadectwo szczepionej ospy wymagane.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

M. MACIEJOWSKIEJ

Z PENSYONATEM

Nauka prowadzona na wzór pierwszej Szkoły Paryskiej p. Abła Goubaud.

NOWY-SWIAT 18, d. J. W. Hr. Branickiego.

Freblowskie Wykłady Zakład JADWIGI CHRZASZCZEWSKIEJ Nowy Świat Nr 21

przyjmuje pensyonarki, przychodnie. Udziela świadectwa, daje miejsca. Francuska stale. Ceny przystępne.

ZOSTAJĄCE POD ZWIERZCHNICTWEM MINISTERJUM SKARBU

Kursy Handlowe Żeńskie

Z pensjonatem Teodory RACZKOWSKIEJ

Żórawia № 6.

Zapis słuchaczek na r. 1902/3 od d. 15 sierpnia, egzamin dla nowostępujących d. 13 września.

Wykłady rozpoczyna się d. 15 Września.

Kursy wieczorne roczne pojedynczych przedmiotów specjalności handlowej, grup takowych, oraz języków nowożytnych. Zapis słuchaczek od d. 15 sierpnia.

PRACOWNIA KÓLDER

MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy. Ceny przystępne.

W Zakładzie naukowym 6 klasowym żeńskim

MARYI MATUSZEWSKIEJ

przy ulicy LESZNO № 28 w Warszawie.

Egzamin 2 września. Lekcje 4 września.

Szkoła rękodzielnicza cechowa dla kobiet

KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ

ul. Mazowiecka Nr. 11, m. 8.

Przyjmuje na różne rzemiosła: kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwo cechowe.

W zakładzie naukowym VI-klasowym żeńskim

z pensjonatem i klasą przygotowawczą

MARYI GROCHOWSKIEJ

MIODOWA № 1.

Zapis na rok szkolny 1902/3 zaczyna się 20-go sierpnia. Egzamin wstępny 2-go września, lekcie 3-go września.

„Miesięcznik Kurjera Polskiego“

pod redakcją Ludwika Straszewicza.

4 rub. rocznie, 2 rub. półrocznie, 1 rub. kwart. zarówno w Warszawie jak i na prowincji (można prenumerować oddzielnie bez „Kurjera“).

CO MIESIĄC.

Duży tom, objętości 192 str., treść bogata, oficie ilustrowana (po kilkadziesiąt ilustracji w każdym tomie). Artykuły wstępne. Rozprawy polityczne, historyczne, społeczne, ekonomiczne, literackie. Sprawy bieżące. Przygody podróżników. Opisy ludów, oraz ich zwyczajów i obyczajów. Interesujące wypadki z życia społecznego i przyrody. W każdym numerze dwie powieści i nowela. Mody, rozmaitości, przepisy, gry, zagadnienia.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, JASNA № 2, róg Ś-to Krzyżkiej.

„Potrosze zbiorą się grosze“

WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO

Pożyczkowo-Oszczędnościowe

MIODOWA 3.

Zarząd Towarzystwa podaje do wiadomości, iż celem ułatwienia w składaniu oszczędności, Towarzystwo otworzy z dniem 20 Sierpnia b. r. nowy dział oszczędnościowy za pomocą skarbonek. Każda osoba, życząca składać w Towarzystwie drobne oszczędności, otrzyma puszkę metalową za zwrotem kosztów takowej, zamkniętą przez Zarząd Towarzystwa, przeznaczoną do zbierania pieniędzy oszczędzanych, zaopatrzoną we właściwy № oraz książkę wkładową. Z końcem każdego miesiąca urzędnik Towarzystwa zgłosi się do posiadacza puszek, odbierze zaoszczędzoną kwotę, zapisze do książki i otrzyma poświadczenie o wydanej sumie.

Stopa procentowa od wkładów oszczędnościowych, do puszek składanych, ustanawia się na 3% w stosunku rocznym.

Wszelkich informacji udziela Zarząd w biurze Towarzystwa codziennie od 9 rano do 3 po południu.

W 6-cio klasowym Zakładzie Naukowym żeńskim

LEONJI RUDZKIEJ

w Warszawie, Zielna Nr. 13.

Rok szkolny zaczyna się 4-go Września. Egzamin piśmienne nowostępujących i warunkowo promowanych uczennic, odbywać się będą 2-go, ustne 3-go Września.



Żądajcie „Grip” z globusem!

zatrzymuje każdą muchę przy najmniejszym dotknięciu.

! Strzedz się falsyfikatów!

Kto prawdziwy „Grip” nie sprobuje, bierze falsyfikat na którym sprzedający więcej zarabia przez co chętniej sprzedaje. Przedstawiciel na Rosji? ZYG. MAMŁOK w Warszawie i Sosnowcu.

GRONKIEWICZ Królewska 5.

Telefon 1758—w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencjami.

W. Golińska

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii

BRONZY, ALBUMY,

NESESERY,

WACHLARZE, RĘKAWICZKI, RAMKI.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

GOLCZEWSKIEJ

Święto-Krzyżka 44.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

KURSY FROEBLOWSKIE ze sloidem dla bon i wychowawczyń JADWIGI BOROWSKIEJ dawniej Jahołkowskiej, Wspólna 20. Po ukończeniu świadectwo, posady, lekcy. Zapis od 20 Sierpnia.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote i 14 srebrnych

dobra PRAZMÓW

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni Izabella Ryx.

WYSZEDŁ Z DRUKU

i jest do nabycia 1-szy tom dzieła p. t.

„Święty Franciszek Seraficki i Jego Naśladowcy“

Dzieło oryginalne

OJCA HONORATA KAPUCYNA

ozdobione licznymi oryginalnymi ilustracjami, art. mal. Adryana Głębockiego oraz wielu francuzkich i włoskich malarzy, odbitemi na wspaniałym kredowym papierze.

Obejmujące życie, cuda i dzieła Ś-go Patryarchy Azyjskiego i jego naśladowców.

1-szy Tom zawiera: Życie Ś-go Franciszka, jako naśladowcy Chrystusa.

Następne tomy będą zawierały:

2-gi Wszystkie nieśmiertelne jego dzieła.

3-ci Duch jakim był ożywiony.

4-ty Łaski, dary, jakimi od Boga był obdarzony.

5-ty Wszystkie pisma, nauki i zdania Ś-go Franciszka.

Drugi tom w druku. Dzieło nadal będzie wychodzić zeszytami, cena zeszytu 90 kop. Cena tomu 4 rb. 50 kop., w ozdobnej oprawie 6 rub. Skład Główny w księgarni Szczepkowskiego, ulica Nowogrodzka № 23, i u Jana Sieradzkiego Hoża 34 m. 5.

Wydawca: Piotr Laskauer.— Redaktor: Marian Gawalewicz.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyżka 11.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Августа 1902 г.